Rok 5 Kraków, dnia 22 października 1944. 40 gr.

Ilustrowany POLSKI



Jesienne marzenia

Fot. Eurofot

5 LAT GENERALNEGO



Generalny Gubernator Dr. Frank.



Hygieniczna wystawa poglądowa pt.: „Bicz życia".

Pięć lat temu, w dniu 26 października 1939 r. utworzone zostało Generalne Gubernatorstwo. W ciągu całego czasu starano się energicznie i skrzętnie o odbudowę i rozbudowę kraju, objętego powyższą nazwą. Wiele tysięcy rąk dokładało pilnych usiłowań na wszystkich polach — by owocną pracą rozkwitły ziemie i osiedla, by powstały nowe drogi służące celom komunikacyjno-gospodarczym, by rozwijało się i doskonaliło rolnictwo oraz hodowla bydła.

Gospodarka wiejska, szczególnie troskliwie pielęgnowana, stanęła na wysokim poziomie dzięki nowym i ulepszonym metodom uprawy roli. W leśnictwie i chowie bydła usiłowania poszły w kierunku wzmożenia produkcji i wydajności, to samo odnosi się do ziemiopłodów, sadownictwa i ogrodnictwa wespół z warzywnictwem.

W szkolnictwie nie zaniedbano niczego, co mogłoby przyczynić się do nauki młodzieży a w „zawodowo-fachowych" uczelniach i instytutach kładziono nacisk na gruntowne przygotowanie kandydatów do różnych zawodów.

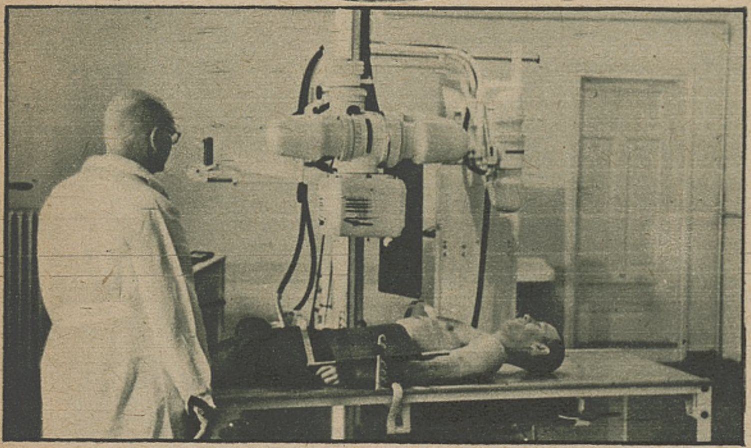
Rząd włożył mnóstwo starań w prace nad zdrowotnością kraju, urządzając i wyposażając zakłady sanitarne, urzędy zdrowia, przychodnie roentgenologiczne, przychodząc z pomocą ludności w zachowaniu infekcyjnej odporności przez masowe publiczne szczepienia, wystawy i pokazy chorobowo-poglądowe.

Teatr i koncerty wkroczyły w dziedzinę kulturalnego wychowania, artystycznej rozrywki i szlachetnych zamiłowań.

W koncertach tzw. „robotniczych" podążyła sztuka do warsztatów pracy, kędy na równi z całością społecznych trudów wre wytężony wysiłek codziennej troski o zaspokojenie potrzeb życia i ugruntowanie nieprzezwyciężonych zapór przeciw zalewowi bolszewickiemu.

W bieżącym roku los podyktował cięższe warunki bytowania w Generalnym Gubernatorstwie. Żagiew wojny żarzy się i płonie nad częścią kraju. Wschodnie obszary zakosztowały przedsmaku czerwonego raju, poznając na własnej skórze „błogosławieństwo sierpa i młota".

Brutalne wysiedlanie polskiej ludności do Litwy, Białorusi, na Ukrainę, — rozdarcie rodzin, deportacje ludzi i przeznaczanie ich do osławionych kołchozów, całokształt radykalnej bolszewickiej „reformy rolnej" w okręgu lubelskim, według sowieckich wzorów i dobrodziejstwa proletariackiego ustroju — to jeno część cierpień Polaków na terenach zajętych przez czerwonych oprawców, nie wspominając już o aresztowaniach i rozstrzeliwaniach jako też wywożeniach w nieznaną dal członków „A. K." Mało tego wszystkiego! Generalna mobilizacja, w lubelszczyźnie i koło Lwowa — to też jedno z dużo mówiących pociągnięć Moskwy, a opowiadają o nim zbiegowie z nawiedzonych „opieką" sowietu

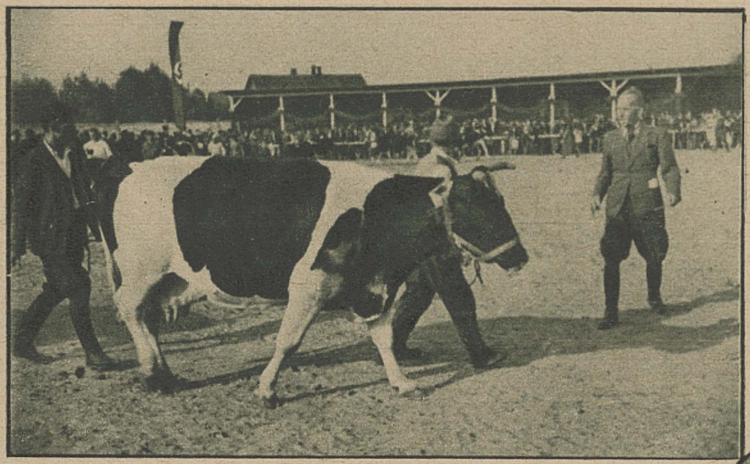




Na lewo: Aparat Roentgena w jednym z zakładów leczniczych.

Powyżej: Generalny Gubernator pozdrawia na Zamku delegację pracowników kopiących szańce.





Powyżej: Z wczesną wiosną rozpoczyna wieśniak pracę na roli.

Poniżej: Ludność Generalnego Gubernatorstwa kopie szańce.

Na corocznie urządzanych wystawach hodowlanych stwierdzono wysoki poziom hodowli bydła w GG.

Na prawo: Tradycyjny wieniec na dożynkach.







Ludność tłumnie przysłuchuje się audycjom radiowym

GUBERNATORSTWA

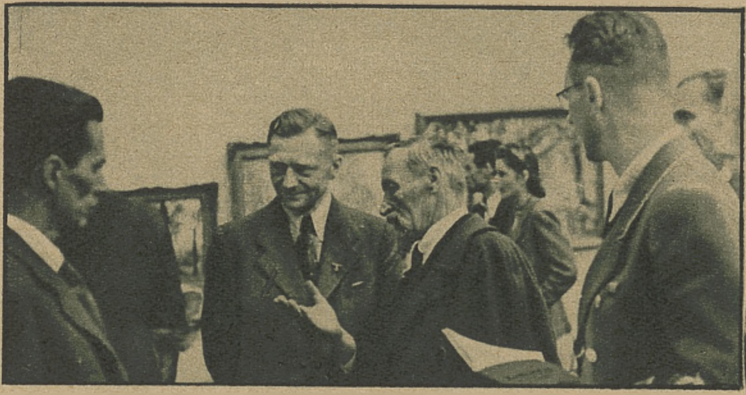
obszarów wschodnich. Po krótkim i niedostatecznym „przeszkoleniu" gna się zastępy zmobilizowanych mężczyzn w pierwsze szeregi frontu, by walczyli w imię interesu czerwonego reżimu. Najhaniebniejszą jednakowoż komedią, najokropniejszym łajdactwem sowietyzmu jest pokazowa akcja religijności, mająca na celu zwabianie łatwowiernych ofiar, szerokie pole działania wykwalifikowanych w podobnie niecnej robocie agentów Kremla, będących osobistymi członkami szeroko zakrojonej walki antyreligijnej w państwie pięcioramiennej gwiazdy!

Ba, nawet prasa brytyjska musiała nareszcie przyznać, że los Polaków na obszarach zajętych przez bolszewików jest smutniejszy i tragiczniejszy od losu Włochów. I oto stało się, co się stać musiało, — pod ogromem nędzy i bólu, z łez i niedoli tych oszukanych Polaków wyrosły na tyłach bolszewickiego frontu organizacje antybolszewickie, a jak daleko sięgało w dusze owych nieszczęśliwych zwątpienie i chęć zemsty świadczy fakt, że do organizacyj tych należy wiele polskich kobiet, których mężów, synów i braci pomordowali czerwoni kaci.

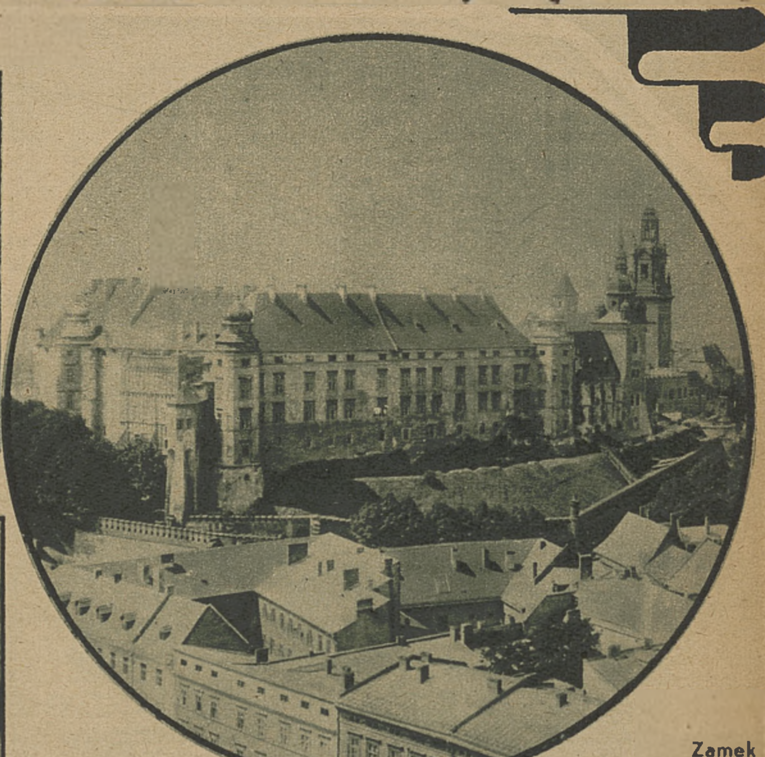
Najtragiczniejszym epizodem w tym szaleńczym, krwawym tańcu bolszewickich morderców było nawoływanie do powstania — które ogromem nieszczęścia spadło na dającą mu posłuch Warszawę. Dopingowani przez aliantów i Moskwę a potem opuszczeni przez inicjatorów ruchu, załamali się w końcu w strumieniach krwi i łunach pożarów warszawscy bojownicy, składając broń na ruinach miasta, wśród niezmierzonej nędzy, niewinnych mieszkańców.

Umilkły odgłosy bezmyślnej walki. Władze niemieckie usiłują przyjść z pomocą i ulżyć niedoli warszawskich uchodźców. Opiekę nad nimi roztoczyła Rada Główna Opiekuńcza, troskliwie pomagająca biedakom pod każdym możliwym względem. Niemiecki Czerwony Krzyż oddał do dyspozycji lazarety i siły lekarskie oraz pielęgniarskie, by potrzebujący lekarstw chorzy i ranni mogli odzyskać jaknajszybciej zdrowie i siły.

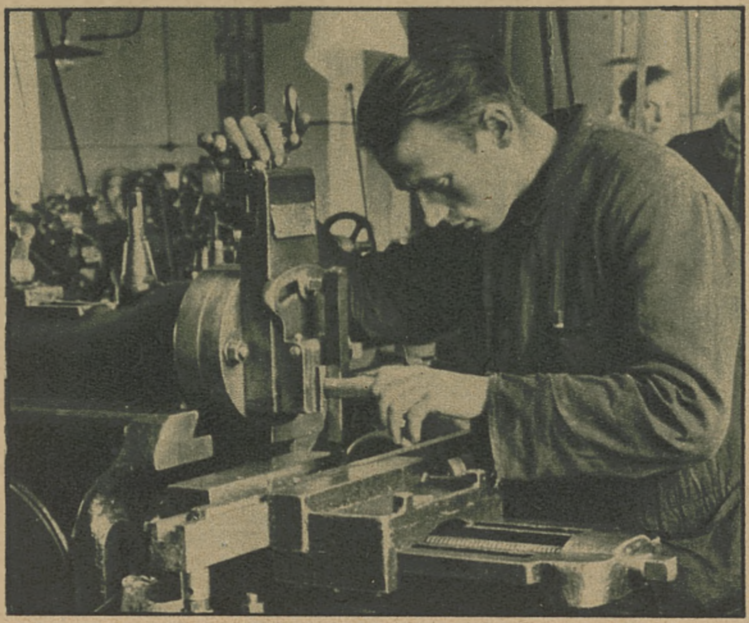
Groźna nawała bolszewicka zgliszczami i ruinami znaczy drogi swego pochodu od wschodnich stron... Niemiecka armia z żelaznym wysiłkiem broni stojącej w obliczu zagłady Europy, starając się odsunąć czerwonego upiora od jej ziem. Również i polska ludność GG. nie ma żadnych złudzeń co do losów — które by stać musiały się jej i wszystkich narodów kontynentu udziałem, gdyby czerwona fala bolszewizmu zerwała tamy oporu. Dlatego porwano za łopaty i stanięto ramię przy ramieniu, by budować szańce obronne — mężczyźni i kobiety, młodzież i dzieci nawet. Wspólnie budowany jest wał na wschodzie najbliższych obszarów, dzień po dniu czyniący potężniejszą starą kolebkę kultury, skarbnicę chrześcijańską — w imię zabezpieczenia wszystkiego co nazwać można dorobkiem postępu i cywilizacji ludzkiej.



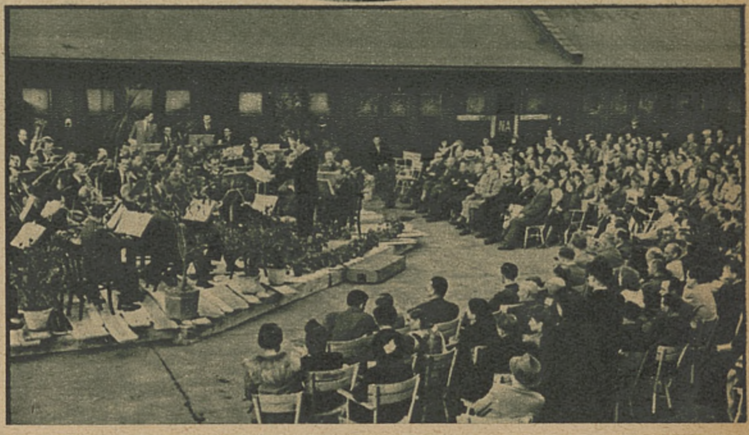
Otwarcie wystawy polskich artystów w Zakopanem.



Zamek w Krakowie.



Powyżej: Uliczny ostrzyciel metali przy warsztacie.



Na prawo: Orkiestra Filharmonii krakowskiej daje koncert dla robotników.



Powyżej: Na lekcji przyrody w szkole powszechnej.



Powyżej: Rzemieślnicy pogłębiają wiadomości fachowe na specjalnych kursach.



Na lewo: Kościół Mariacki w Krakowie.



jącym codziennie przez głośnik wiadomości bieżące.



Poniżej: Ochotnicy niosą ciężką belkę służącą do umocnienia okopow.

Co wiem o ziemniakach?



Na lewo:
Ewunia wie, że jej lalka jest sporządzona z materiału niełamliwego — zdołała już wypróbować. Ale nawet jej mamusia nie ma pojęcia, że także ta masa jest w przeważającej części produktem kartoflanym.



Obok w kole:
W rękach chemika zamieniają się kartofle na spirytus do picia, denaturat, wodę do włosów, wody kolońskie itp.



Na lewo w kole:
Dekstryna jest najlepszym klejem. Wiedzą o tym dobrze pocztarze i używają dekstryny najchętniej spośród wszystkich klejów roślinnych.

Poniżej w kole:
Skrzętne gosposie starają się przyspieszyć zbiór ziemniaków, aby uniknąć zaskoczenia przez zimne i słotne dni. Kartofle wędrują do miasta, a stamtąd do fabryki, skąd po pewnym czasie wracają do rolnika w postaci proszków, spirytusu, pasty do butów itp. Oczywiście rolnik nie ma pojęcia o tym, że pije swoje własne kartofle przetworzone na wódkę, albo pastą z kartofli „pucuje" buty.

Mówią, że miesiąc październik wziął swoją nazwę od paździerzy, tj. odpadków pozostałych z międlenia lnu i konopi. Być może. Jednak ta anachroniczna nazwa musiała powstać w czasach, gdy okolice nasze obfitowały w rośliny dostarczające nam włókna. Dzisiaj len i konopie należą do rzadkości na naszych polach, natomiast prawie cały miesiąc październik jest dla rolnika okresem troski o zbiór, zwózkę i przechowanie ziemniaków, które stały się produktem najważniejszym i najpowszechniejszym, nie tylko jako artykuł żywnościowy, ale również jako surowiec dla przeróbki przemysłowej.

Był czas, że ziemniaki zjawiały się tylko na stołach ludzi zamożnych, a kwiat kartoflany był rzadką ozdobą sukni kobiecych, poszukiwaną i drogo opłacaną. Ojczyzną ziemniaków, zwanych także kartoflami, jest Chile i Peru, skąd przywiezione zostały do Europy ok. 1560 r., najpierw do Hiszpanii, a stąd do innych krajów Europy. Dopiero w XVIII w. zostały rozpowszechnione i znalazły się na stołach ludzi nawet najbiedniejszych. Ale kto by pomyślał nawet w XVIII w. jakie najróżnorodniejsze zastosowanie znajdzie ziemniak w w. XX-tym? A zaczęło się to dopiero wówczas, gdy ziemniakami zainteresowali się chemicy. Uważamy węgiel za najcenniejszy surowiec. I słusznie. Oprócz opału mamy z niego gaz i koks, amoniak i nawozy sztuczne, sacharynę i barwiki, perfumy i preparaty lecznicze, benzynę i kauczuk, oleje, ter, smołę, naftalinę i pokost. Nie wymieniliśmy jeszcze wszystkiego, a znalazła się już spora ilość nazw, których zapamiętanie, sprawiało zawsze trudność, zwłaszcza uczniom szkół zawodowych. Niemniejszą ilością produktów „wyłanianych" z siebie może się poszczycić kartofel. Bo czegóż tam nie ma! Spożywają kartofle w stanie nieprzerobionym ludzie i zwierzęta, a po przeróbce z kartofli mamy celuloid i sztuczny jedwab, pastę do zębów i spirytus do picia, puddingi i syropy, pastę do obuwia i atrament, dekstrynę i odbijanki, krochmal i mąkę kartoflaną. A wszystko to zależy od tego jak się uda „kampania" kartoflana. Czy nie dosyć, aby przyznać kartoflom znaczenie równe węglowi? Mamy rację, że uważamy październik za miesiąc kartoflany. Ale nie zaproponujemy zmiany nazwy — język jest konserwatywny i nie znosi zmian. Zaznajomimy się pokrótce ze sposobem fabrykacji jednego z najważniejszych produktów ziemniaczanych: spirytusu. Drobno posiekane ziemniaki praży się w specjalnych kotłach. Powstałą z tego gęstą kleistą masę miesza się ze słodem żytnim. Pewne związki zawarte w słodzie żytnim powodują zcukrzenie całej masy, powstaje więc maltoza i dekstryna. Po dodaniu drożdży następuje fermentacja, która trwa 72 godziny. Po pewnym czasie uzyskuje się alkohol i kwas węglowy. W naczyniach destylacyjnych odłącza się alkohol od innych domieszek przez ogrzewanie w miedzianych kotłach. Wtedy alkohol zamienia się w parę i przechodzi rurami do innego naczynia. W drodze oziębia się i skrapla. W końcu w innych naczyniach czyści się go (rektyfikuje). Podobnie skomplikowany jest proces przeróbki chemicznej kartofli na inne produkty przemysłowe, co powoduje, że ilość produktu w porównaniu do zużytego surowca jest minimalna, ale za to koszta i cena wysoka.





Na lewo:
Dzieci rozumieją dobrze, że ich obowiązkiem jest codziennie czyścić ząbki, przy czym znowu w grę wchodzą kartofle jako produkt wyrobu pasty do zębów.

Fot. Witzleben i Peters



Po-wyżej w kole:
Tysiące różnych wzorów na tkaninie sztucznego jedwabiu cieszy oko każdej pani. Kto rozpoznałby w tym kształcie kartofle? Duch wynalazczy stworzył tu nowy cud przeobrażenia.

Nie podejrzewalibyśmy nawet, że i pasta do butów zawiera w sobie jako część składową ziemniaki!

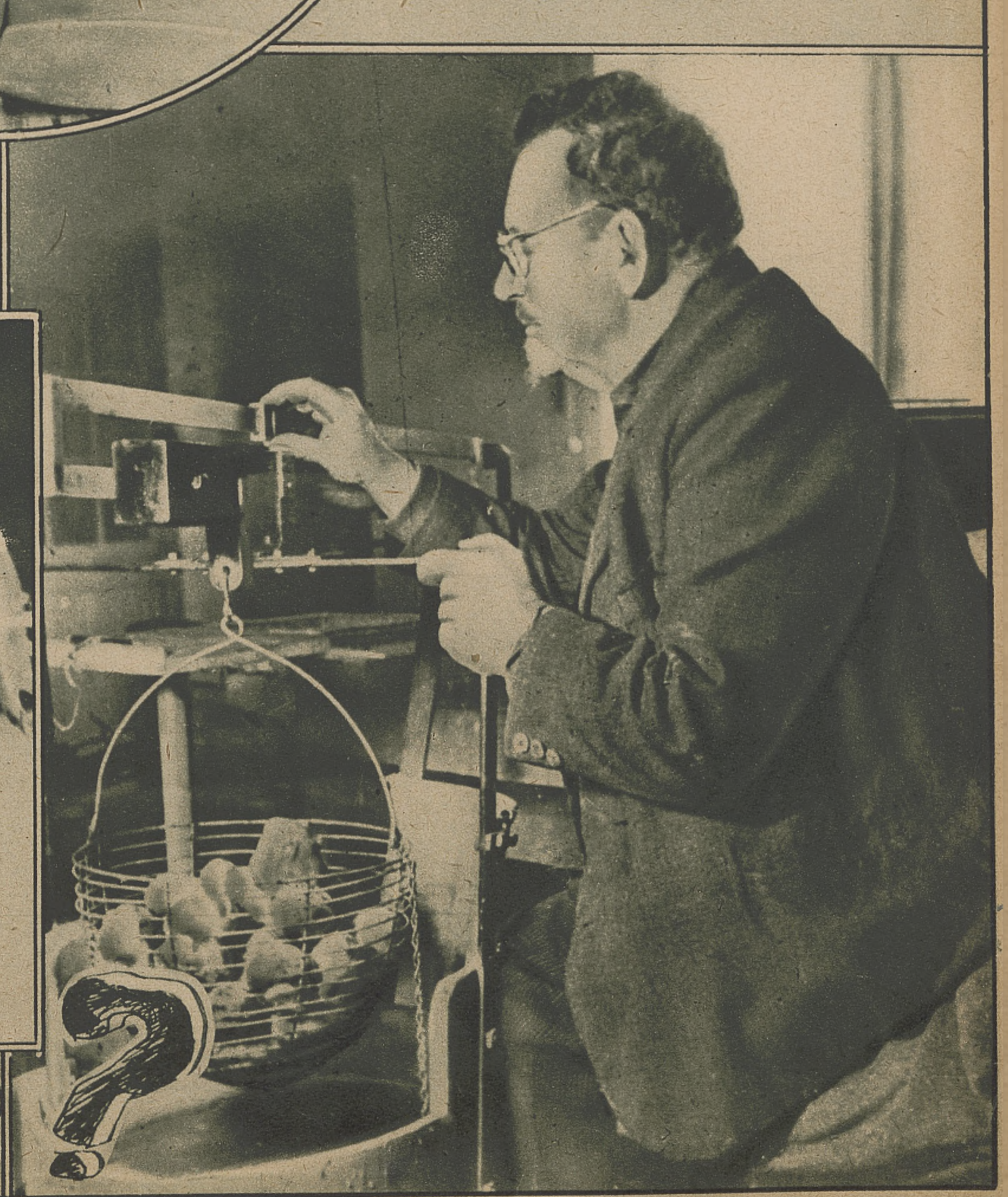


Poniżej w kole:
Mąka kartoflana czyli krochmal jako produkt wyjściowy wielu przetworów chemicznych jest przede wszystkim gromadzona przez zakłady przemysłowe podczas „kampanii kartoflanej". Na zdjęciu zwożenie mąki kartoflanej do magazynów.



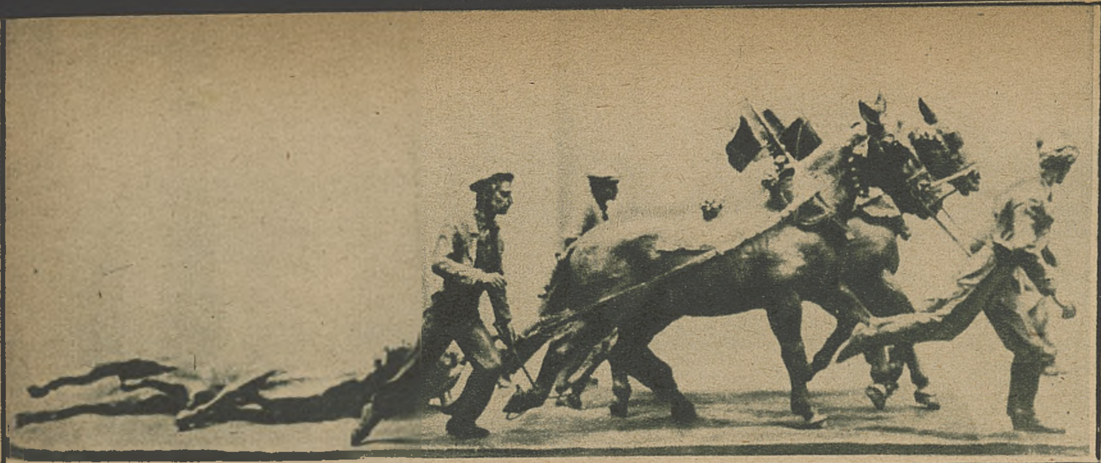
Poniżej:
To niesamowite zwierzę jest najniebezpieczniejszym wrogiem kartofla. Jest to kalifornijski chrząszczyk kartoflany, który niedawno przywleczony został do Europy i czyni spustoszenia w polach, jeśli na czas nie przedsięweźmie się energicznych środków zwalczania.

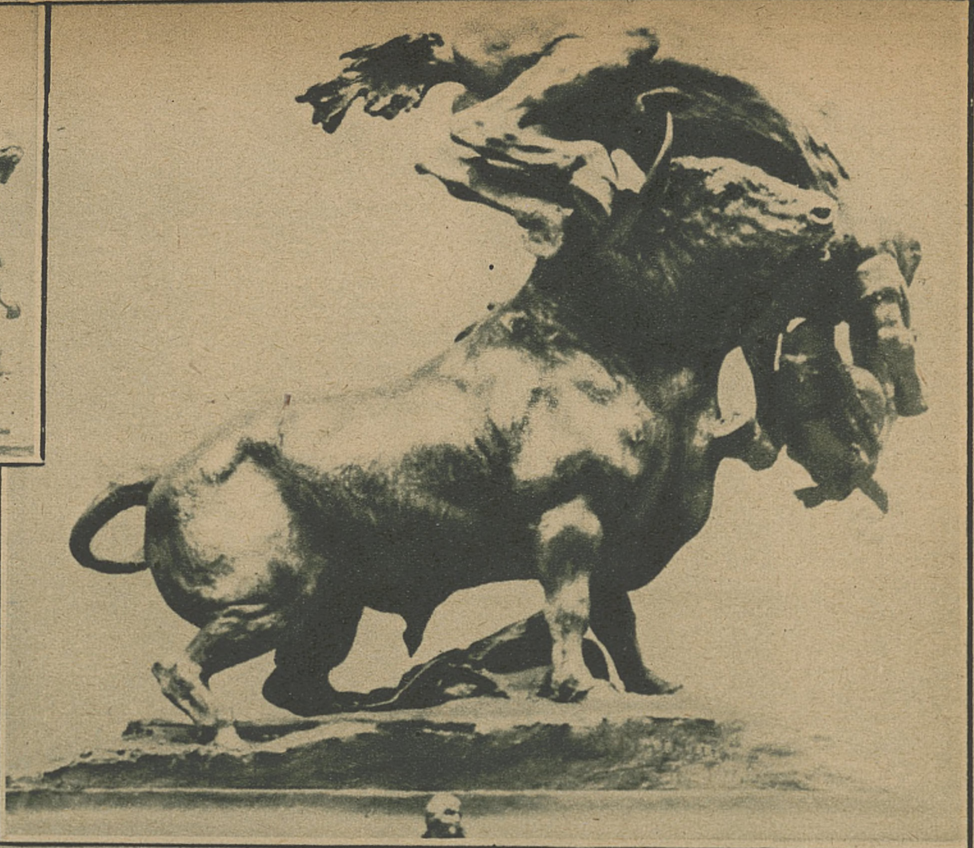




Poniżej:
Prawie wszystkie produkty przemysłowe, które zawierają w sobie domieszkę kartofli, zawdzięczają to krochmalowi. Ważną więc jest rzeczą zbadać najpierw zawartość krochmalu w kartoflach. Na zdjęciu ważenie krochmalu zawartego w kartoflach.

WALKA BYKÓW







Epoka brązu zaklęła w sobie erę pochodu człowieka ku cywilizacji, postępowi, ku pięknu i sztuce. Hart i tężyzna fizyczna — to przejaw zewnętrzny tej epoki, widoczny w ciężkich, kowanych z cynomiedzianej rudy sprzętach, narzędziach i broni.

By zaakcentować jeszcze bardziej tę jakoby symboliczną cechę brązu, moc i siłę, pokusił się słynny rzeźbiarz hiszpański Don Mariano Benlliure o zużytkowanie spiżu jako materiału do przedstawienia dłutem walki byków w poszczególnych zasadniczych epizodach tego brawurowego i bohaterskiego pojedynku człowieka z rozjuszonym zwierzęciem — narodowej imprezy Hiszpanii.

Bystry obserwator natychmiast spostrzeże przy oglądaniu wspaniałych rzeźb mistrzostwo ich twórcy w oddawaniu wyrazu kowanej sceny czy postaci, kolosalną ekspresję dynamiki ruchu, żywość bijącą z dzieł, wolnych od przesady w zaznaczaniu niepotrzebnych szczegółów a mile pociągających oko doskonałą harmonią kształtów i realistyczną koncepcją całości.

Rzeźbiarz osiągnął w zupełności zamierzony cel. Walka byków uchwycona „in flagranti“ ręką artysty w brązie, przemawia silnie do widza powagą trudnej pracy, łącząc pojęcie siły żywej z mocą metalu.

Na prawo u góry:

W WŚCIEKŁEJ ZEMŚCIE

Pełna dramatycznej grozy i napięcia chwila rzutu w powietrze konia, dosięgniętego rogami rozszalego byka. Artysta oddał po mistrzowsku efektowną pozę byka dokonywującego w wysilonym przysiadzie swej zemsty.

U góry:

BIEGIEM Z ARENY!

Widowisko skończone. Złoty piasek areny nasiąknięty krwią martwego byka, cielsko jego wlecze dwukonny zaprzęg wśród grzmotu oklasków precz z areny. Entuzjazm tłumu widzów udzielił się oprawcom — biegnącym obok zaprzęgu, choć śpieszyć nie ma się po co...
Byk już nie wstanie do nowej walki . . .

Na lewo u góry:

BANDORILLERO OBJEŻDŻA ARENĘ

Konny zapaśnik prezentuje się publiczności. W ruchu konia widoczna wyuczona gracja zwierzęcia, przyzwyczajonego do ludzkiego mrowiska i niosącego dumnie na swym grzbiecie wyprostowanego, pełnego odwagi zapaśnika.



MATADOR PRZED WALKĄ

Moment jeszcze — każe nam wnioskować wykuła w brązie postać bohatera areny — a grzmot oklasków i deszcz kwiatów powita początek zapasów. Matador wszedł już na arenę i ukłonem odpowiada na okrzyki tłumów i uśmiechy pięknych senorit...



Fot. Eurofot

ŚMIERTELNY CIOS

Wspaniała wyrazem chwili grupa, oddająca przejmująco kulminacyjny moment walki. Wyczerpany i słaniający się na nogach byk atakuje ostatkiem uciekających sił konia matadora, dobijającego w niebezpiecznej sytuacji zręcznym ciosem włóczni niedawnego triumfatora areny.

Branimir Divadić

LEGENDA O AMISIE I AMILU

Z chorwackiego przełożył WIKTOR PODMAJERSKI

Była późna majowa noc, gdy Amisa wynieśli słudzy z jego zamku... Bezszelestnie cicho i lękliwie wyszli boczną bramą, jak gdyby szli na jaką wyprawę złodziejską. W krzewach, które tuliły się do starożytnych murów, słowiki zamilkły w połowie pieśni przeznaczonej nocy. Nie słyszał ich nikt w zamku, bowiem odejście ich było skryte jak tajemnica serca. Tylko Amis wiedział, że dalej tak żyć nie można, a słudzy jego, że obowiązek wierności zabrania im opuścić pana. Pies jego, Strzała, szedł za nimi.

Lektyka, na której leżał Amis, była długa i obszerna. Jasne i białe jedwabne poduszki przygniatała głowa Amisa. Purpurową kołdrę poczerniała noc. Pod głową unosiła się lektyka wysoko nad ziemią, gdyż Francisco był człowiekiem kościstym i wysokim, gdy w nogach pochylała się tuż ku ziemi w rękach Antonia, który był człowiekiem tłustym i małym.

Ciężko było nieść lektykę w dolinę. Przejmująca ciemność zasypała drogi kamieniami, jak gdyby chciała ich zatrzymać. Jednakże posuwali się śmiało naprzód, a z pośpiechu ich sądziłbyś, że chętnie porzucają rodzinne góry. Gdy zeszli do stóp góry, odezwał się Amis:

— Stań, Antonio. Na twarz spadła mi gorąca kropla. Nie wiem, czyli to moja łza, czyli owego longinusa. Za nami pozostało to, co stanowi nasz ból. Czy też powrócimy kiedy tutaj?... Stań, bowiem dogadza sercu zatrzymać się, zanim się odejdzie...

Lecz człowieczek naglił dalej. Nie chciał zatrzymywać się długo.

Tak doszli do szerokiej drogi, wzdłuż której szemrał potoczek. Ponieważ była czarna noc, więc towarzyszyły im drogą jeno gwiazdy i to, co mieli na sercu...

Ruchy lektyki ukołysały Amisa do snu. Francisco, obawiając się, by mu się nie zdrzemnęło, szeptał modlitwy, które tak chętnie odmawiał w kościele, a w których teraz było jeszcze coś więcej: coś z owego modrego nieba i jego gwiazd migocących dobrodusznie... Antonio śledził oczyma psa, który biegł przodem, wracając co chwilę z powrotem pod lektykę — jak gdyby chciał powiedzieć: chodźcie, ja was strzegę!

Długo, długo szli milcząco w noc. Gdy Amis się przebudził, postawili lektykę na trawie i zeszli do strumyka, by rękami zaczerpnąć wody. Również i Amis był spragniony. Francisco wyjął z torby puchar Amisa i zaczerpnął zimnej wody.

Amis ujął puchar i zatrzymał go na piersiach, bowiem słodko było mu patrzeć, jak promienie księżyca załamują się w klejnotach, którymi cały puchar był wysadzany...

Słudzy podnieśli lektykę i ruszyli naprzód, lecz Amis nie wypuszczał pucharu z rąk...

Cudnymi płomieniami zapłonął puchar i tajemniczym światłem opromienił mu duszę.

— Puchar ten to dzieło pewnego braciszka z drużyny świętego Franciszka z Assyżu, — mówił Amis. — Kiedyś pewien bogaty złotnik zatracał swą duszę w swym błyszczącym zawodzie. Ów mnich zawrócił go z drogi rozpustnego życia ku prawdom świętego Franciszka. Z wdzięczności kupiec ów nasypał mu garść klejnotów do żebraczej torby... Gdy mnich zbliżał się ku grodowi świętego Piotra, odpoczywając na polance, uczynił z drewna puchar i ozdobił go klejnotami, nanizawszy je w arabeski. Gdy ukończył swe dzieło, zadziwiła go jego własna sztuka jak sama przyroda. I nie mogąc się oprzeć pragnieniu, uczynił drugi taki puchar, całkiem podobny do pierwszego. Nieznany artysta podarował je oba ojcu świętemu, papieżowi. Odtąd w skarbcu papieskim, gdzieś w kącie, dawno zapomniane puchary kwitły swym błyszczącym drogocennym kwiatem niby cnoty świętego Franciszka z Assyżu...

— Sława mu i chwała, wielkiemu wybrańcowi bożemu! — przerwał Francisco, głośno myśląc.

— Tymczasem — podjął dalej Amis — w dwuch książęcych zamkach dwie matki porodziły po długich modlitwach, postach i mękach...

— I krótkich chwilach miłości — wtrącił Antonio, podśmiechując się.

— ... dwóch synów. Wdzięczne Bogu za to, ruszyły z dzieciątkami do Rzymu i uprosiły, że ochrzcił je sam papież. Na chrzcie nadał im papież imiona: Amis i Amil... I obdarzył obie matki najpiękniejszymi, jakie miał, pucharami, które sporządził był mnich świętego Franciszka z Assyżu. „Oto podarunek dla was za to, — rzekł papież pięknym rodzicielkom — żeście porodziły"...

— Sława mu i chwała, wielkiemu wybrańcowi ludzkiemu! — dokończył Francisco, naśladując Antonia.

... Opowieść o pucharze rozwiązała język Amisowi, więc żywo podjął opowiadanie dalej. Kroki jego sług nadawały jego mowie rytm... I słodko było słuchać jego opowieści.

— Pucharów strzegli nasi ojcowie jak świętości... Gdy mi było lat dziesięć, zapoznała mnie matka z Amilem. Od pierwszego spotkania pokochaliśmy się wielką miłością. Niewyczerpane było źródło naszej wzajemnej skłonności. Jak rodzeni bracia ruszaliśmy w świat i wracaliśmy ze świata, dzieląc wiernie i dobro i zło. A byliśmy podobni jeden do drugiego jak nasze puchary. A jak nie można było zauważyć, czy Amis więcej siebie kocha czy Amila, lub Amil siebie czy Amisa, tak nie mogły nas rozeznać ludzkie oczy... I zdarzyło się, że Amil pokochał królewską córkę. Wielu o nią starało się rycerzy, którym nie było równych od krańca do krańca świata. I nastała wielka rywalizacja: który z nich więcej spodoba się królewnie. Amil był junakiem bez strachu i nikt nie sprostałby mu w walce na kopie i w igrach rycerskich. Lecz jego czułe serce nie znosiło pożądań, którymi królewny pożądali drudzy. Począł czuwać nocami i odrzucać jadło i picie jak chore dziecko... Głęboko zapadły mu oczy, a w członki jego weszło zmęczenie i słabość... A właśnie wtedy zdarzyło się, że pewien rycerz z Hiszpanii wyzwał w zawody najniebezpieczniejszych swych rywali. Miał stanąć także i Amil choć posępny, wyczerpany i chory, aby nowym zwycięstwem rozradować oko królewny. Daremnie zaklinałem kochanego druha, by nie szedł, bowiem przeczuwałem straszne niebezpieczeństwo. Niczym jednak nie dał się odwieźć. Dopiero gdy nadeszła chwila potyczki, ubiegłem mego przyjaciela. Moi trębacze obwieścili całemu rycerstwu, że Amil czeka i że gotów jest potykać się z hiszpańskim straszliwym junakiem. Ponieważ podobni byliśmy jeden do drugiego, nikt nie domyślił się podstępu, a Amil — choć ciężko mu to było — nie śmiał dopuścić do drugiego wstydu... I w obliczu świetnych rycerzy i pięknych dam począł się wielki, rozpaczliwy bój... Po trzykroć zdawało się, że pokona mię hiszpański rycerz, po trzykroć bliższy byłem śmierci niż żywota... A fala podniecenia i lęku po trzykroć przepłynęła sercami widzów, porywając z sobą najbardziej duszę drogiego Amila... Bladością pokryło się oblicze królewny — jakby lilii płatkami białymi osrebrzonymi światłem księżyca... Teraz zmiłował się Bóg nade mną. Jednym potężnym ruchem obaliłem z siodła potężnego rycerza... Triumfalnym okrzykiem zadrżało powietrze. Lecz, wierzajcie mi, dobrze ich nawet nie słyszałem: tak mocno dusił mnie Amil w swym uścisku!... Drugiego dnia królewna stała się jego żoną, a mnie za podstęp Bóg pokarał trądem... Odepchnął ode mnie żonę i dzieci... I uczynił mnie żywym trupem — — Nigdy by o nieszczęściu moim nie dowiedział się Amil, gdyby nie to, że teraz w sercu moim odezwała się tęsknota za nim, niezmożona tęsknota za kochanym druhem.

... Amis skończył opowieść, a ponieważ zmęczyło go mówienie i wspomnienia, więc ociężała mu głowa i zatonęła głęboko w poduszkach.

Wtedy słudzy zboczyli z drogi i spuścili lektykę na ziemię pod starym dębem. Rozpostarli na ziemi niedźwiedzią skórę i położyli się obok pana. Umęczeni zasnęli w okamgnieniu.

Strzała jeno przysiadł na tylnych łapach obok głowy Amisa i czuwał.

*

Świtało, gdy słudzy poczęli się budzić. Nie byliby zbudzili się nawet ni wtedy, gdyby nie to, że Strzała dotknął mordką wąsów longinusa, gdy doliną rozległ się bek rogaczy. Słudzy w milczeniu ujęli lektykę i ruszyli naprzód.

Właśnie wychodzili z doliny, gdy po przeciwnej stronie słońce ozłociło swoim rąbkiem szczyt góry. Z wioski, która się bieliła w dali, dochodziły ostatnie dźwięki porannego angelusa... I owe jeszcze ostatnie dźwięki wzruszyły duszę Francisca do modlitwy. Zatrzymał się więc, opuścił lektykę na ziemię i ugiąwszy kolano, począł szeptać pozdrowienie anielskie...

Amis już od dawna nie modlił się do Boga zwyczajną modlitwą. Odkąd Bóg zesłał nań straszną chorobę, jego rozmowy z Bogiem nie polegały na słowach, z jakimi przedtem przystępował ku Niemu. Słowa jego były czymś swoistym, czymś cierpkim i swawolnym. Było w nich jeszcze pobożne wzruszenie, lecz nie było bezwarunkowej miłości i bezskrajnego oddania... Tak i teraz modlitwa jego była głęboko odczuta jak u innych Ojcze nasz i Zdrowaś Mario, jednak całkiem jego własna. Powiadał ją swoim sługom, bowiem chciał podzielić z nimi swe szczęście.

— Przyjaciele moi, — przemówił Amis — oto jest chwila, w której światu narodził się nowy dzień. Słońce wyszło z ukrycia i dotknęło swymi promieniami i żywych i martwych rzeczy... I wierzajcie mi, wschód jego — choćby nie wiem jak był wspaniały i majestatyczny — nie ma głębszego sensu jak tylko ten, jaki myśmy mu mogli nadać. A jeśli to radość i szczęście i zachwyt, co się w sercach naszych budzi, tedy wiedzcie bracia, że słońce jest posłańcem radości, — tej radości, która od prawieków chciała istnieć. Czyż zna kto lepszy sens żywota?...

... Słudzy nie pojęli słów swego pana, lecz proste ich dusze przejęła głęboko ich niezrozumiałość i objęła ich słodka niepewność jak w kościele, gdzie kapłan podobnie niezrozumiałymi słowy szeptał modlitwy swoje...

Nigdy głębiej i mocniej nie zasmuciła ich boleść Amisowa jak w owej niepojętej smutnej chwili. I gdy podnieśli lektykę i stawili pierwsze kroki, serca ich pełne były pragnienia, by dojść co prędzej tam, dokąd chciał Amis: do zamku nie znanego im, ukochanego druha ich pana...

*

Tak szli i szli jeszcze dwa dni i dwie długie i nieskończone noce.

Trzeciego dnia dotarli do wielkiej rzeki, nad którą na stromej skale wznosił się ogromny rycerski zamek.

Amis zatrzymał swe sługi i słodkim spojrzeniem objął czarowny widok... A więc to jest dom jego Amila!... Prawdziwe sokole gniazdo, które zbudował przyjaciel z tęsknoty wielkiej za nieznanymi miłości rozkoszami, lecz również i w przeczuciu cichego, trwałego i spokojnego szczęścia rodzinnego!

Oczyma niespokojnej wyobraźni widział Amis w każdym oknie drogie lice Amilowe, widział już, jak ręką przyzywa go i słyszał, jak woła go do siebie...

Tymczasem służba przywołała przewoźnika, złożyła nosze na łodzi i tnąc wiosłami zielone fale przyśpieszyła przejazd. Na drugim brzegu przybili do kraju tuż pod bramą, wynieśli nosze i kołatkami poczęli oznajmiać przybycie trędowatego.

Gdy tylko rozległ się suchy drewniany klekot, Amis skinął im, aby przestali. Twarz jego pobladła, a wargi jego boleśnie zadrgały... Przypomniał sobie chorobę swoją i pomyślał o tym, że zawadą będzie przyjacielowi swemu, że cierpliwości mu braknie, że przyjacielską miłość zastąpi wstręt do chorego podług wieczystych i niezwalczonych praw natury ludzkiej... I żałosną była niewypowiedzianie postać Amisa, gdy zrozpaczony ugiął się w porywie szczęścia... Tak ptak raniony leci z ciężką raną w piersiach, długo nie czuje bólu, lecz cieszy się, że szczęśliwie umknął przed strzelcem i śmiercią, a potem naraz pada... i głośno o ziemię uderza...

Smutno czekali słudzy na rozkaz pana swego, aż Amis im rzecze:

— Ozwijcie się raz jeszcze, a nie mówcie odźwiernemu imienia mego!

Słudzy zakołatali kołatkami. Po chwili pojawiła się w otworze spiżowej bramy biała głowa starca.

— Kim jesteście? — ozwał się słaby głos.

— Podróżni! — odrzekł Francisco.

Wnet potem zaskrzypiały wrzeciądze, a z głębi zamku nadbiegło kilku ciekawych sług. I wtedy zwrócił się do jednego z nich Amis:

— Idź do pana swego i przypomnij mu słowa Pana: **Spragnionych napoić!**

Sługa ruszył na zamek, a Antonio ujął za torbę i wyciągnął z niej Amisów puchar. Po chwili powrócił sługa niosąc oburącz po sam rąbek winem napełniony drzewiany puchar. Ale gdy stanął na progu, roztwarł szeroko oczy i nagle biegiem wrócił na zamek.

Nie wiedział nikt, co to znaczy.

A sługa biegł z powrotem do pana swego, rozsypując po schodach marmurowych czerwone krople wina.

— Panie, gdybym nie trzymał w moim ręku pucharu twojego, myślałbym, że puchar owego trędowatego twoim jest pucharem, bowiem jeden do drugiego i kształtem i wielkością zupełnie jest podobny.

Wyszedł tedy rycerz sam osobiście przed zamek, stanął przy lektyce i pyta Amisa:

— Kim jesteś, cudzoziemcze i skąd masz ten puchar?

A Amis odrzecze:

— Z Briquain le Chastela jestem, a puchar ten od papieża przy chrzcie świętym otrzymałem.

Gdy to Amil usłyszał, poznał natychmiast, kto to przybył do niego, więc uścisnął przyjaciela, ucałował go i zapłakał gorzko.

Także i żonie Amilowej oznajmiono ową dziwną wieść. Wybiegła z rozpuszczonymi włosy i rozsypawszy je nad drogim przybyszem, boleśnie załkała. Widziała przez łzy bohatera z turnieju... I serce trzy razy jej się ścisnęło od lęku, jak wtedy, gdy Amis trzykrotnie uległ hiszpańskiemu rycerzowi — Amis-Amil.

... Gdy się wypłakali, nakazali sługom, aby wnieśli Amisa na zamek. Przeznaczyli mu wieżę słoneczną i miłą od wschodu. Położyli go na królewskim przestronnym łożu i zaręczyli mu mocno, że nie puszczą go nigdy spod dachu swego aż do kresu smutnego jego żywota.

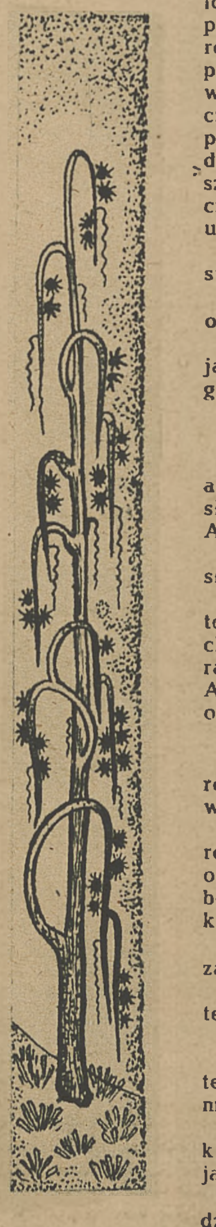
Gościnni gospodarze taką miłością otoczyli Amisa, że jego męczeński żywot w domu ich przemienił się w szczęśliwość zupełną.

Francisca i Antonia umieścili tuż obok komnaty Amisowej, a Strzała niedźwiedzią otrzymał skórę za legowisko i wolno mu było do pana swego przychodzić ile razy zechciał. Każdego dnia razy kilka przychodził Amil lub małżonka jego, albo wraz oboje, aby zapytać Amisa, czego pragnie serce jego i aby rozmową, i żartem i opowieścią skrócić długie dni choremu. Dla miłych dzieci Amilowych nie było większej radości, jak bawić się ze Strzałą, tarzać się po jego lego-

Jesień



Spadło na las
niebo — wilgotna porcelana
przeszafirowa, rozzłacana
słońcem dalekim i ogromnym
we mgłach powiewnych zawieszonym.
Czar lata zgasł
i przyszedł cud jesieni
i wszystko wokół zmienił —
ustroił las
w złotorudość traw
i krwisty liści haft
rzucony między szmaragdy.
W strugach świateł bladych
pójdę — szelestem drogę znacząc —
pomiędzy jodły, co majaczą
w objęciu białej brzozy,
a wiatr szeroko, naścieżaj
gałęzie mi otworzy
jak furtki barwno-świeże.
Kosmaty wielki pająk-krzyżak
ku mnie się srebrną dróżką zniża
(połączy jodłę z krzakiem rudym
pajęczyn cudem) —
nabitą głowę grzyb spóźniony
wystawi ponad mchów obsłonę
(spoza mrowiska czujnie zerka
czy nie zobaczy rąk człowieka) —
...więc pod przeszafirowym niebem
pójdę — po kostki w liściach tonąc
a las mnie całą weźmie w siebie,
szumem osnuje mnie, jak wonią!
rzuci mnie w złotorudość traw
i krwisty liści haft
między szpilkowych drzew szmaragdy!!
— — już czar dnia zgasł...
wzniesiemy oczy: j a i l a s
ku gwiazdom bladym.



M. A. Hessel

wisku i bujny śmiech wnosić w komnatę „dobrego wujka Amisa".

Z klasztoru położonego po drugiej stronie rzeki przychodził uczony ojciec Eufroniusz i czytał Amisowi z cudnie zdobionego rękopisu Pismo Święte. Czasem Amis chytrymi pytaniami wprowadzał w kłopot dobrodusznego ojca. Wtedy ojciec następnego dnia przynosił z klasztornej biblioteki uczoną teologiczną dysertację póra jakiegoś ojca, którego sława wśród murów klasztornych przechodziła z pokolenia w pokolenie. Ale kiedy Amis przy czytaniu regularnie zasypiał, uczony ojciec zamieniał uczoną lekturę na Wergilową Eneidę lub pieśni Horacego, a w końcu i na rycerskie pełne przygód romanse, które świątobliwego ojca coraz bardziej mamiły.

Czasami nie chciało się Amisowi w ogóle słuchać więc wtedy przykazywał ojcu, aby wziął gęsie pióro do ręki i zaczynał mu powiadać swoje rozmyślania, które ojciec krętymi i zawijanymi znakami zapisywał na żółtawej oślej skórze. Biegłego pisarza mniej interesowały Amisowe mądre powiedzenia, więcej go natomiast cieszyły piękniutkie litery. Gdyby wiedział, co pisze, mało którą sentencję wypisałby do końca, bowiem różności w nich były. A oto tylko garstka tego, co sięześliznęło z ojcowego pióra.

P o u c z e n i e. Gdyby nie było radości, to po cóż by człowiek żył?

Jeśli radość jest sensem życia, to zmieńmy je w radość!

Czyż dzień boży nie poczyna się majestatyczną sceną świtu? Czyż nie kończy się chłodnym pięknem nocy?

Gdyby Pan od prawieków nie pragnął radości, to czemuż tak by się zaczynało i kończyło jego arcydzieło?

... Uczyńmy według jego nakazu: obróćmy życie w radość i piękno od początku do końca! — — — — — — — — — — — — —

P o c i e s z e n i e. Amisa Bóg naznaczył, zesłał nań trąd, zniekształcił jego ciało i złamał płomienną jego duszę...

Po co żyje biedny Amis?

... Amis ma oczy, aby widzieć, ma uszy, aby słyszeć. Przez jego oczy Pan podziwia swoje mistrzowskie dzieło, jego uszyma słucha świergotu ptaków, szumu fal i szmeru szybkiego wiatru... Przez jego serce płynie mu z samotnych dali wszechświata wesołe pozdrowienie człowiecze!... I Amis musi być! — — — — — — — — — —

Albo wreszcie te słowa:

P a j ą k. Człowiek jest pająkiem i to poślednim.

Człowiek przędzie od świtu do zmroku z siebie sieć z nici swoich pragnień i tęsknot, aby przecież może w jaki sposób złowić w nią łup swego życia.

Jedni są kiepskimi tkaczami i przędą sieć wąską i drobniutką; inni powiązali nici od księżyca do słońca i szczytów górskich. Przez ich przędzę przechadzają się gwiazdy, dmą wichry i walą się lodowe góry.

... Taką była kiedyś sieć Amisowa.

Teraz skurczyła się i sięga zaledwie jeszcze tylko od jednego końca łóżka do drugiego...

I przędza jej zgniła.

Wnet jej wcale nie będzie.

Wielu nawiedzających opowiadało Amisowi o wszystkim, co się wydarzyło w mieście i w dalekim świecie. Przychodzili do niego goście, wielu zacnych rycerzy, sławni junacy i artyści, a nawet i głośne piękności, towarzyszki Amilowej żony. Gdy Amis patrzył na ich boskie lica i spragnione łykał spojrzenia, wrażliwa jego natura upajała się pięknem i upijała się zachwytem jak niegdyś, dopóki był zdrów...

Lecz od tego gorącego życia, jakie obok niego przemijało jak łódź weselna po falach rzeki wzdłuż wilgotnej nieruchomej skały, był Amis szczęśliwy, ale zarazem i trzykroć nieszczęśliwszy. Jego rozmyślania nie mogły uleczyć jego choroby, nie mogły zagłuszyć głosu nawet najskromniejszego pragnienia jego duszy...

W takich chwilach nie pomagały nic ni księgi ni ludzie...

Wtedy Amis polecał Amilowi, aby podszedł bliżej, tuż do jego łoża. Serce mu się rozpływało, gdy opowiadał rozpaczliwą opowieść swojego bólu.

Pewnego dnia Amis tak rzecze:

— Miłość twoja udzieliła mi wszystkiego, co dobre w ludzkim sercu. Znalazłem w niej wszystkie radości najszczęśliwszego ludzkiego żywota. Dzięki ci, bracie, stokrotne ci dzięki. Wierzę w głębokość twoich uczuć i nie śmiałbym w nie powątpiewać. Ale wybacz... Myśli moje są chore i dusza moja wrażliwa jest jak rany na moim ciele. Gdy mnie dotknęła boleść, po całej mojej dziedzinie rozniosła się okropna wieść, ludzie płakali; starcy, kobiety i dzieci, cisnęli się do kościołów i w gorących modłach błagali Boga o moje zdrowie. Słali mi cudotwórców, znachorów i głęboko uczonych lekarzy. Lecz wszystko było na próżno... Dom mój zaniemiał jak trumna. Wystraszeni chodzili wszyscy na palcach, zciszali głos, łagodzili ruchy i wstrzymywali oddech... nikt nie chciał niczym, choćby nawet myślą tylko urazić mego cierpienia. Żona łzami zawsze zlewała moje nakrycie... Przez długie miesiące nic nie umniejszało strasznego cierpienia... Lecz wtedy zdarzyło się coś, co mnie dotknęło straszliwiej niż boleść moja. Człowiek, ku któremu przychodzili z zapłakanymi oczyma słudzy, poddani, żona i dzieci, nie był już tym dawnym... Choroba stanęła w poprzek i wzniosła przyrodzony mur między sercem i sercem. Ciało moje gniło i wstrętnymi swymi ranami owartymi oddaliło duszę od duszy. Nie byłem już ich. Byłem im obcy, jak obcą jest życiu śmierć. W ich ruchach widziałem wstręt i tajemną zgrozę życia przed śmiercią. Stałem się dla nich zagadkowym i niezrozumiałym. Między nami otwierała się przepaść... Wokół archipelagu martwych rozlały się zielone, moczarowate wody. Coraz bardziej objawiała się ich niecierpliwość. Byłem im ciężarem. Widok mojej boleści zatruwał im radość ich życia. Przeklinali mię prosząc Boga, aby zdjął z ich bark nieznośne brzemię. Żona mnie porzuciła, oderwała od ojca rodzone dzieci... Amilu, pojmujesz-li teraz, dlaczego zapragnąłem ciebie? — Wybacz, ale i ty jesteś człowiekiem. Przyjdzie dzień, Amilu, dzień straszny, kiedy i nad tobą zapanują wieczyste prawa natury twojej, kiedy okrutna przyrodzona siła odepchnie żywego od martwego i wzniesie kamienny mur między twoim sercem i moim zgniłym ciałem. Przyjdzie, Amilu, dzień, — i tak, jak czuję jego zbliżanie się, tak rosną moje cierpienia i więcej już ich znieść nie mogę...

Gdy Amis skończył, wydało się Amilowi, że usłyszał to o czym już i sam rozmyślał w bezsenne noce. Słowa te zaskoczyły go niemiło i poczuł, że bladość go okryla, której na szczęście w półmroku nie mógł zauważyć Amis.

Ledwo znalazł słowa, aby pocieszyć Amisa i rozwiać jego zwątpienie, którego od tej chwili nie mógł już unicestwić nawet sam w sobie.

Drugiego dnia przyszedł ojciec Eufroniusz z grubym foliantem pod pachą. — Strzała wybiegł naprzeciwko starego znajomego i jak za każdym razem, tak i teraz nie dał się odprawić, dopóki ojciec nie pogłaskał go po głowie. A ojcu Eufroniuszowi jak gdyby się gdzieś śpieszyło.

— Panie — rzecze do Amisa — od dzisiaj nie czytam już więcej rycerskich przygód. Ja nie jestem świętym Antonim. Nieczysta ta lektura zwaliła na mnie pokusy, które mnie męczą za dnia i w nocy. Przeszkadzają mi nawet i przy czytaniu brewiarza. Przyniosłem tu oto Wyznania świętego Augustyna. Nieprawdaż, że przejściowo będzie to znakomita lektura.

Lecz zanim ojciec Eufroniusz zdążył rozłożyć ogromną księgę, poprosił go Amis, aby wziął do ręki pióro i zapisał myśli, które go męczyły całą noc, odkąd się rozstał z Amilem.

Starzec posłuchał i zapisał co następuje:

B ó l. Bóg stworzył nie tylko radość, lecz także i ból. Możliwe, że i ból jest jego radością.

... Dlaczego cieszyłem się w duszy, gdy Amil pobladł, kiedy drżącymi ustami mamrotał mi coś, co już nie było nieodpartą prawdą jego duszy?...

Dlaczego prości ludzie biegną patrzeć na tortury, dlaczego cisną się na miejsca straceń?...

Jeśli nawet i w cierpieniach są radości, dlaczego ich nie doświadcza ten, któremu los nie dał lepszych?...

Gdy ojciec Eufroniusz zapisał słowa Amisa, zaczął czytać wyznania świętego Augustyna.

Tymczasem, podczas gdy w Amisowej komnacie odbywało się czytanie, w kaplicy zamkowej kapłan odprawiał jutrznię. Francisco posługiwał mu dostojnie, świadom świętości swoich czynności. W półmrocznej kaplicy nie było nikogo prócz Amila. Klęczał na poduszce w cudnie rzeźbionym klęczniku z czarnego twardego drzewa.

Słowa Amisowe zapadły w czystą jego duszę jak kamień w górskie jezioro, przeniknęły do dna i zamąciły jego wody — jak oko szybkonogiej sarny.

Czyż to możliwe, pytał się Amil i daremnie szukał odpowiedzi w zamąconych myślach, czyż to możliwe, aby coś na świecie mogło zamącić miłość wiernego towarzysza? Czyż to możliwe, aby istniała niewidzialna siła, nie przyrodzona moc, której nie może się oprzeć nawet to, co jest najlepsze w nas? Czyż to możliwe, aby rozgoryczony Amil kiedyś odwrócił spojrzenie od towarzysza, który w bezgranicznej wierności nadstawił zań swoje młode życie?...

Nabożeństwo już się skończyło i w zakrystii zniknął już kapłan i Francisco, a Amil ciągle jeszcze z twarzą ukrytą w dłoniach klęczał w półmrocznej kaplicy. Podniósł się potem nagle, wyprostowawszy dumnie swoje gibkie męskie ciało i wyszedł wąskimi bocznymi drzwiami.

Od tej chwili wiedział Amil, że serce jego zostanie czyste. Niech się stanie co chce, jego Bóg będzie strzegł.

Pewnego letniego wieczoru siedziała w Amisowej izbie Amilowa żona. Okno było otwarte naoścież, a do izby powiewał chłód wieczorny, napojony zapachem kwiatów i lasów. Cisza była, którą przerywał tylko plusk wioseł na rzece pod zamczyskiem. Żona Amilowa zapatrzyła się gdzieś w dal...

Dalszy ciąg nastąpi

H. P. Harms

„BUNT W KLATCE LWÓW"

Tłumaczył z niemieckiego JERZY DOWNAR

Była smukła, śniada, kusząco piękna i nosiła charaktery-yczne imię Leona. Pracowała w cyrku, tzn. tańczyła w klat-e pomiędzy lwami, odtwarzając stylizowany maurytański niec. Maurytański dlatego, że stosunkowo łatwy do wyko-ania, wreszcie znakomicie pasuje do wielkich afrykańskich otów. Każdego wieczoru, kiedy lwy kapitana Wylanda, po akończeniu swego numeru, pousadawiały się w malowni-zych grupach, wkraczała Leona uroczyście do klatki, sta-wała na rozpostartym wzorzystym dywanie, zrzucała z siebie urmeński płaszcz i zaczynała w takt egzotycznie brzmiącej uzyki poruszać swe młode i gibkie ciało. A czyniła to w ta-i sposób, że przyglądająca się temu publiczność gotowa yła uwierzyć, że jest to najoryginalniejszy taniec haremo-wy. Całość bardzo dekoracyjna i niezbyt wyczerpująca. W trakcie tych produkcji, miała Leona przy tym za zadanie rzucać ogniste spojrzenia publiczności i kokietować siedzą-ych w loży panów. Nie należało bynajmniej przypuszczać, Leona była osobą lekkomyślną, o nie, ta wabiąca gra spoj-eń należała raczej do jej numeru. Miało to być jakby od-ierciedleniem namiętności u wschodnich kobiet. Zresztą szef, kapitan Wyland, kładł szczególny nacisk na upięk-nie tego trochę monotonnego tańca — dużą dozą tempe-entu.

onieważ Leona była rzeczywiście piękna, uprawiany przez w ten sposób flirt miał zrozumiały efekt — wielokrotnie bowiem zakochiwał się niejeden bywalec cyrku w smuk-dziewczynie z klatki lwów i tylko z tego powodu stawał codziennym gościem areny. To też właśnie było celem, którego stale dążył dompteur zatrudniający tancerkę. siała więc w myśl jego życzeń swój numer drogo „sprze-wać", jak to nazywało się w gwarze artystów. Należy y tym podkreślić, że Wyland równie dobrze zwracał bacz-uwagę, by żaden z wielbicieli jego młodej asystentki nie się czasem dla niej niebezpiecznym, jak również dbał o, by i jego lwy nie uczyniły Leonie jakiejkolwiek ywdy.

erce kobiety jest jednak czasami tak nieobliczalne, jak ce lwa. I tak też stało się, że Leona zakochała się pew-o dnia w bardzo eleganckim mężczyźnie. Przez sześć dni ędu posyłał jej do garderoby kosztowne kwiaty, a siód-go zjawił się osobiście z bukietem pięknych czerwonych Nazywał się George Dean. Na wstępie dał Leonie do zro-nienia, że będzie wielce rad, gdy zechce zrobić mu za-zyt i zje z nim kolację.

Od pierwszej chwili zrobił na Leonie tak wielkie wrażenie, zgodziła się bez wahania i jeszcze tego samego wieczora ała się z nim do jednego z najwytworniejszych lokali. d tej pory widywali się codzień.

Wyland tego jednak nie zauważył. Miał bowiem duże zmar-enie, przez co stał się mniej czujnym względem Leony. den z jego lwów, najlepszy i najinteligentniejszy, potężny rnogrzywy berber — Achmed, był od pewnego czasu po-ażnie chory. Achmed był okrasą całego cyrku, był prze-odnikiem grupy lwów, wykonywał najtrudniejsze tricki posiadał nade wszystko bezwzględny posłuch i autorytet pozostałych lwów. Właśnie w tym okresie czasu choroba ego tak dalece się pogorszyła, że Wyland nie mógł go już atrudniać, a na dzisiejszą poranną próbę wyznaczył na jego niejsce młodego i ładnego, lecz niepewnego lwa — Sułtana.

Zmianą tą jednak Wyland nie był zadowolony, gdyż zwie-zęta, zauważywszy brak swego kierownika, stały się pod-niecone. Sułtan, jak okazało się na wstępie, nie mógł spro-tać zadaniu i cały numer mocno kulał. Na domiar złego Leona nie zjawiła się na próbę, a przecież należało bez-względnie wykonać taniec choćby z racji zmiany, jaka za-szła w rozmieszczeniu lwów. Wyland kłął soczyście, ale kląłby bardziej, gdyby wiedział, że Leona właśnie dzisiaj spotkała się ze swym wielbicielem.

Był w cyrku jeszcze ktoś, kto również odczuł brak Leony. Był to Karol Braun, młody i dzielny artysta z grupy lino-skoczków. Od dawna żywił on głębokie, lecz ukryte uczucie dla pięknej tancerki. Ta stale okazywała mu koleżeńską uprzejmość, a nawet kiedyś zrobiła mu ciche nadzieje. Kiedy zjawił się George Dean, Leona wahała się i nie mogła po-wziąć decyzji, czy pozostać przy swym wprawdzie biednym, lecz za to szlachetnym i skromnym koledze, czy też pójść do wytwornego i niewątpliwie bogatego Dean'a. Ale ten ostatni wziął górę. Leona w końcu zupełnie oziębła względem Karola Brauna.

Braun spostrzegł zaszłą zmianę i wycofał się delikatnie, jednak uczucie, jakim obdarzał tancerkę, w niczym nie uległo mianie. Tylko on jeden wiedział co łączyło Leonę z owym czyzną, ale przed nikim nie zdradził się z tym. Kiedy eona nadeszła, było już za późno na ponowną próbę. Ona ama zresztą nie uważała jej za konieczną, gdyż, jak twier-dziła, oprócz tańca wykonywanego pośród lwów, nie miała poza tym z nimi nic do czynienia.

Na zarzuty Wylanda odpowiedziała hardym milczeniem. Była dziś zdenerwowana. Właśnie przed niespełna godziną namawiał ją Dean, żeby porzuciła swój zawód i przyszła do niego. Tłumaczył jej, że włóczy się niczym cyganka z cyr-kiem po świecie nie mając nawet swojej ojczyzny, a gdyby weszła do towarzystwa, po krótkim czasie stałaby się damą. Ludzie, z którymi stale obcuje, są prości nie rozumiejący nie umiejący niczego prócz swego zawodu, zaś jego oto-czenie dałoby jej wszelkiego rodzaju możliwości do osiąg-nięcia czegoś wyższego. Powinna zatem zamienić swoją twar-dą, niebezpieczną, a nade wszystko mało zrozumianą i uzna-waną przez ogół pracę na luksus i zbytek. Krótko mówiąc — winna opuścić swój świat i wejść do eleganckiego towarzy-stwa, gdzie zdobędzie niewątpliwie hołdy. Tąk barwnie i po-nętnie przedstawioną przez Dean'a perspektywą życia prze-jęła się Leona do głębi i dlatego dziś, skądinąd może lekko tłumiony zachwyt, jaki miała dla życia cyrkowego, nagle w niej ostygł. W dodatku przyczynił się również do tego fakt, że Wyland ostro nawymyślał jej za zaniedbywanie obowiązków.

Stała się więc markotną i opryskliwą dla otoczenia. Czy-niąc przygotowania do występu, nie dbała już o nic i nic ją nie interesowało. Opanowana chęcią zobaczenia Dean'a na widowni, zaglądała co chwila przez otwór w kurtynie. Wreszcie nadszedł, jak zwykle elegancki i wytworny, a Leonie serce poczęło bić coraz gwałtowniej na myśl, że swoje dalsze życie spędzi już pod opieką tego mężczyzny.

Tymczasem w czasie przerwy ustawiono na arenie dużą klatkę. Wtoczono ciężkie wozy ze lwami. Po chwili zaczęła grać orkiestra. Wyland i jego pomocnik, Jones, poczęli wówczas wypędzać lwy z wozów na specjalny pomost wiodący do klatki. Już na wstępie okazały się trudności. Ponieważ zwierzęta zauważyły brak Achmeda, nie chciały wejść do klatki. Szczególnie upartą okazała się Fatima, piękna i nadzwyczaj silna lwica, będąca jakby małżonką Achmeda. Kiedy wreszcie Wylandowi udało się przy pomocy wideł i bata wypędzić ją z kąta, stała się podniecona i zaczepną. Zaledwie wbiegła do maneżu, rzuciła się w kierunku Sułtana, siedzącego na podeście przeznaczonym dotąd dla Achmeda. Sułtan zamruczał niepewnie. Wyland nie żdążywszy nawet skłonić się publiczności, znowu musiał użyć bata.

Tresura szła ciężko, co chwila przerywana niesfornością zwierząt. Upór Fatimy wpłynął ujemnie na pozostałe lwy, z czym Wyland miał nielada kłopot. Każdorazowo, kiedy Sułtan dostawał od niego extra kęs mięsa, przyjmowała to Fatima groźnym pomrukiem, rozdziawiając pysk i pokazując straszne kły w kierunku mimowolnego uzurpatora.

Karol Braun, mając podczas tego numeru tak jak i inni chwilowo niezatrudnieni artyści pieczę nad końmi, obserwował z niepokojem wytężoną pracę Wylanda. W pewnej chwili zbliżył się do Leony, zajętej właśnie powtarzaniem kilku trudniejszych pas i zwrócił jej uwagę na wyjątkowy niepokój lwów, radząc mieć się przed nimi na baczności. Leona zbyła go krótko, mówiąc: „Dziękuję ci Karolu!". Wybiegłszy następnie na arenę, podeszła szybkim krokiem do klatki, minęła drzwi i znalazła się na maneżu.

Lwy stały się już do tego stopnia nerwowe, że nawet zjawienie się wśród nich Leony przyjęły pomrukiem niezadowolenia. Tancerka nie okazała jednak strachu i kroczyła pomiędzy nimi z uśmiechem. Stanąwszy na dywanie, rzuciła słodkie spojrzenie ku loży, gdzie siedział George Dean i rozpoczęła swój taniec. — Podczas numeru Leony lwy zwykle spokojnie siedziały na swoich podestach, dzisiaj jednak nie mógł zapanować porządek. Czy było to u Sułtana siłą przyzwyczajenia, czy też obawa przed towarzyszami z racji zajęcia przez siebie miejsca po Achmedzie, jednym słowem usiłował on co jakiś czas przedostać się na swoje dawne miejsce. Wyland ukrócał te zapędy, rzucając mu co chwila świeży ochłap mięsa. I to właśnie doprowadzało Fatimę do coraz to większej wściekłości.

Teraz i Leona zauważyła, że ze zwierzętami coś jest nie w porządku. Ogólny niepokój począł i jej udzielać się. Poczuła lekki strach i niepewność.

W pewnym momencie Sułtan zeskoczył z podestu usiłując ponownie przedostać się na swoje stare miejsce, zajęte obecnie przez syna Fatimy — Husseina. Fatima przyjęła to za wyzwanie i, zanim Wyland przejrzał jej zamiary, zeskoczyła nagle na ziemię i rzuciła się jak błyskawica na Sułtana. Ten odskoczył w ostatniej sekundzie w bok, chowając się za pogromcę. Fatima, zapominając o respekcie dla swego pana, skoczyła teraz jak szalona na Wylanda, nim ten zdołał zasłonić się widłami. W jednej chwili leżał już powalony na ziemię, a lwica, opanowana wściekłością, poczęła go kąsać w ramię.

Wszystko to rozegrało się w ułamkach sekundy. Orkiestra przerwała jakimś dysonansem. Wśród publiczności dały się słyszeć przeraźliwe okrzyki grozy. Leona obejrzała się nagle. Zobaczywszy swego szefa leżącego we krwi, uczyniła ruch, chcąc podbiec ku niemu. Fatima, porzuciwszy swą ofiarę, w mgnieniu oka jednym susem skoczyła na Leonę. Delikatne ciało dziewczyny upadło pod gwałtownym uderzeniem lwicy. Leżąc na wznak, patrzała Leona osłupiałymi od strachu oczami na wściekłe błyszczące ślepia zwierzęcia, ziejącego jej w twarz cuchnącym oddechem. Instynkt nakazał Leonie nie ruszać się, to też i lwica leżała obok spokojnie oparłszy swe potężne łapy na jej piersiach. Tymczasem pomocnik Wylanda, Jones, uzbroiwszy się w widły i pistolet, wszedł odważnie do klatki, po czym wystrzelił kilkakrotnie na postrach. Lwy cofnęły się w kąt klatki. Teraz mógł Jones, wprawdzie z trudem, wynieść rannego Wylanda z maneżu. Przy pomocy przywołanych następnie do pomocy kilku ludzi lwy zostały wreszcie zapędzone do wozów. Unieszkodliwiwszy w ten sposób bestie, zwrócił się z kolei Jones ku leżącej nadal obok Leony i patrzącej obojętnie na to, co się wokół niej działo, Fatimie. Kiedy jednak zbliżył się, wydała groźny pomruk, rozdziawiając przy tym straszliwą paszczę tuż obok szyi Leony. Jones zatrzymał się. Wiedział dobrze, że lwica przy pierwszym ataku może przegryźć przede wszystkim gardło Leony.

— Zastrzelić! — krzyknął ktoś z publiczności.

Jakiś policjant zbliżył się do krat klatki z gotowym do strzału rewolwerem, jednak nie mógł strzelić bez narażenia Leony. Również i Jones nie posunął się dalej. Każdy jego krok ku lwicy mógł spowodować śmierć tancerki. Po pierwszej panice zapanowała teraz w cyrku cisza, przerywana gdzieniegdzie jakimś ciężkim westchnieniem wśród publiczności.

Leona miała teraz oczy zamknięte i każdej chwili oczekiwała śmierci.

Podczas gdy wszyscy jakby urzeczeni stali bez ruchu na coś czekając, pierwszy przebudził się z odrętwienia Karol Braun. Obiegł cicho dookoła klatkę, a znalazłszy się za plecami lwicy, wdrapał się zręcznie na klatkę, odgiął znajdujące się gdzieś na górze końce drutów i, utworzywszy w ten sposób spory otwór, wlazł przezeń do środka, zawisnąwszy na rękach. Odmierzywszy następnie okiem odległość dzielącą go od lwicy, lekko rozhuśtał się i zeskoczył na grzbiet zwierzęcia.

Na ten atak Fatima nie była przygotowana. Wiadomo, że każde zwierzę instynktownie rzuca się do ucieczki, gdy poczuje nagle coś obcego na swym grzbiecie. Lwica, opanowana teraz nagłym strachem, zapomniała o swej ofierze i uciekła w potężnych susach do drzwi klatki. Karol Braun, odrzucony nagłym ruchem lwicy, padł na piasek.

Nie namyślając się wiele, rzucił się Jones z widłami i pistoletem za lwicą i zapędził ją już bez specjalnych trudności do wozu.

Leona, podniesiona z ziemi przez Karola Brauna, szybko przyszła do równowagi. Spojrzawszy przede wszystkim w kierunku loży, gdzie siedział George Dean, ujrzała tam trupio bladego, zemdlonego, zwisającego do tyłu przez poręcz krzesła mężczyznę.

Podtrzymywana silnym ramieniem Karola Brauna udała się chwiejnym krokiem do garderoby.

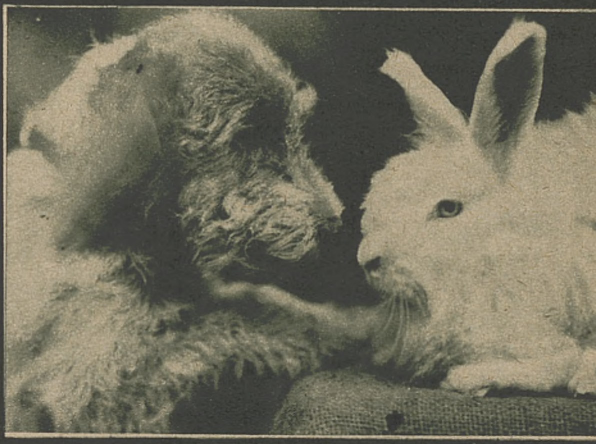
Teraz już wiedziała do którego mężczyzny powinna należeć.

PRZYJAŹŃ — TO RZECZ PIĘKNA!

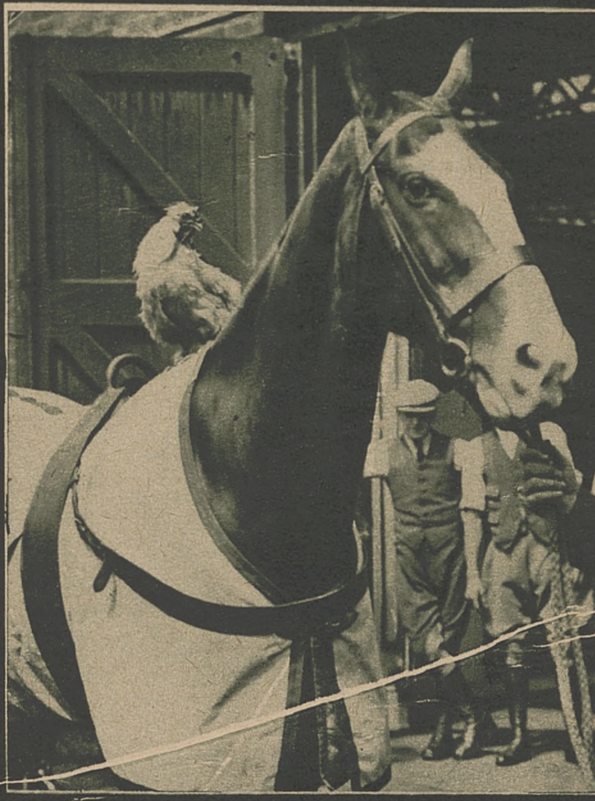
Fot: Witzleben i Peters. Tekst: Stef-Kra.



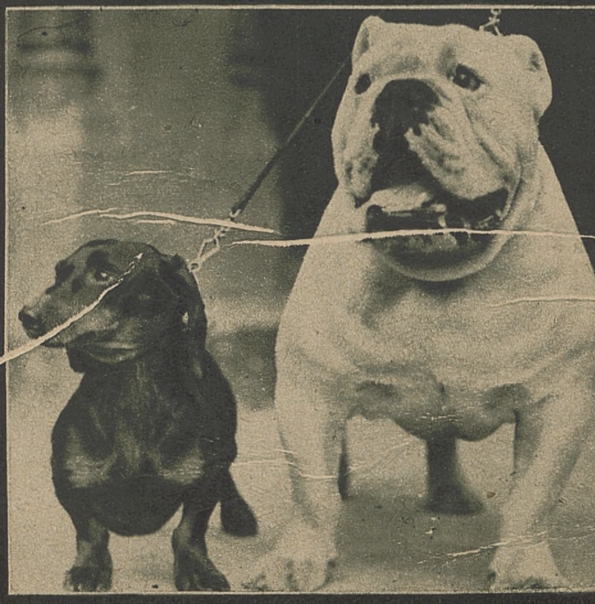
Beczkę soli zjeść potrzeba — nim się kogoś dobrze pozna . . .
Zaprzyjaźnić się — ho, ho, ho! Lepiej zwolna i z ostrożna . . .
Tu ryzyka nie ma chyba . . . Pośpiech wykluczony przecie,
Gdy się żyje, pono prawda, prawie 200 lat na świecie!



Tak nam dobrze z sobą razem . . . tak podobniśmy do siebie . . .
Chwile płyną nam spokojnie, błogo, słodko — jakby w niebie . . .
Tyś puszysty, ja . . . też prawie. Tylko, twe futerko białe
Takie gładkie . . . Moje zasię — odrobinę szorstkie całe...



Rączy jesteś, przyjacielu, w biegach sława ciebie czeka . . .
Do zwycięskiej kiedyś mety weźmiesz na swój grzbiet człowieka,
A tymczasem — powiedz szczerze, tym przykrości ci nie sprawię,
Że w słoneczny, ciepły ranek, i ja w jeźdźca się zabawię . . .



Powracamy wprost z konkursu! Pierwszą piękność nam przyznano!
Trochę krzywe mamy łapy — ale pod sąd ich nie brano ..
Przyjaźń nasza, rzecz widoczna. Odbłysk jej się w oczach żarzy,
Na konkursie zaś chodziło o poczciwy wyraz twarzy...

O PAJĄCZKACH BABIEGO LATA

Motyw ludowy

W dawnych — już bardzo dawnych czasach wszędzie było inaczej.

W niebie i na ziemi.

Kłosy zboża rodziły ziarna tak duże, jak bułki.

Materiał także spadał z nieba.

W październikowe dnie, kiedy to złote i ogromne słońce toczyło się południową stroną nieba, Matka Boska siedziała w swojej liliowej komnacie i przędła na kołowrotku.

Przędła nici mięciuteńkie, jak puch; a tak piękne i mocne, że najdumniejsza księżniczka mogła sobie z nich uszyć sukienkę.

Usłużne aniołki złotymi widełkami spychały przędziwo z nieba na ziemię. Część świetlistego przędziwa zatrzymała się na obłokach i przeszkadzała w pracy Kulawemu Diabłowi.

Na stawie jednej wioski koło młyna rozstawił on swój warsztat.

Wydmuchiwał na nim w październikowe ranki i wieczory ciemne mgły. Szły one w górę, zamieniały się w chmury, które zasłaniały słońce. W ciemnościach łatwiej skusić do grzechu.

Niestety. Ledwie rozpoczął pracę, ledwie zdołał uśpić za chmurami słońce, już przędziwo Matki Boskiej poczęło się przemykać przez chmury, świecąc bardzo jasno prosto w twarz uśpionemu słońcu.

Budziło się słońce i zazdrosne o swoją władzę świeciło i grzało strącając na dół chmury.

Przepadała cała diabelska robota.

Diabeł był bardzo zatroskany i lękał pokazać się na oczy Belzebubowi władcy piekieł.

Szukał długo sposobu na pozbycie się niebieskiego przędziwa.

Czatował koło młyna i przypatrywał się kobietom, które wieczorem powracały z koszami niebiańskiego przędziwa.

Taki był zwyczaj w tej wsi, że wszystkie kobiety musiały własnoręcznie zbierać błyszczące nici i tkać z nich cenną odzież.

Żadna nie sprzeciwiała się prawu, bo wiedziała, że czekałaby ją powszechna wzgarda.

Wesoło śpiewając biegały za nićmi po polach. Obierały je z gałązek drzew i uradowane niosły wieczorem do domów.

Jedna tylko Adela żona młynarza przeklinała tę czynność i złorzeczyła Matce Boskiej.

Była bogatą, miała dosyć pieniędzy na stroje, nie potrzebowała pracować. Żałowała rąk i nóg. Narzekała na ciernie i ścierniska.

Kulawy Diabeł wiedział o tym i postanowił ten jej cichy bunt wykorzystać do swoich zamiarów.

Niewidzialny chodził za nią i tak kusił:

— Głupia, po co ci pracować, po co niszczyć dłonie. Wstań nocą i z płonącą pochodnią obejdź wszystkie komory i spal przędziwo do ostatniego. Gdy zniknie, ludzie zapomną o nim i przestaną zbierać.

Adela posłuchała tej rady. Podczas najciemniejszej nocy obiegała z płonącą pochodnią wszystkie otwarte komory i podpalała przędziwo. Powracając, biegła pustkowiem. Nagły podmuch wiatru nachylił płomień pochodni wprost na jej szatę. Szatka utkana z przędziwa niebieskiego zapaliła się w okamgnieniu.

Płomienie szybko objęły ciało Adeli, które rozleciało się na miliony maleńkich pajączków.

Odtąd z rozkazu Matki Boskiej wszystkie pokolenia tych pajączków unoszą się w jesieni nad ziemią i snują nitki pajęcze.

Matka Boska czeka w niebieskiej komnacie na chwilę, kiedy pajączkom uda się wysnuć tak grubą niteczkę, którą by mogła sierotka zacerować sukienkę.

Wtenczas skończy się kara Adeli a Matka Boska sama zacznie prząść. Czasami udaje się pajączkom wysnuć grubszą niteczkę, ale Zły czuwa i przeszkadza.

Rozstawia zaraz swój warsztat i wydmuchuje z niego chmury, które moczą niteczki. Niteczki nie umią świecić i nie budzą słońca. Dlatego w październiku więcej jest dni słotnych. Ludzie podobno także więcej grzeszą.

Stanisława Nowakówna

O NERWOWEJ PANI

Wytworny buduar. Firanki pozapuszczane, bo piękna pani Helena jest ciężko chora. Upozowana na stylowej kozetce, czeka na doktora, który właśnie wchodzi. Dama wyciąga białą rączkę do sławnego eskulapa i głosem mdlejącym zaczyna:

— Ach, kochany doktorze... dobrze, że jesteś — ratuj, błagam cię! Źle ze mną, bardzo źle...

Pani Helena przemienia się w złamaną lilię i rzuca bolesne spojrzenie na doktora.

Doktor z udaną troskliwością zbliża się do pacjentki.

— Zaraz... zaraz... Niech się pani uspokoi.

— Siadaj doktorze.

Posłuszny doktór siada.

— Więc cóż pani dolega? — rzecze, szukając pulsu. — Proszę powiedzieć mi wszystko.

— Właśnie... Właśnie wszystko opowiem. Otóż trzy miesiące temu zostałam bez służącej. Z moimi nerwami nie może sobie doktór wyobrazić!

— Wyobrażam sobie!

— Telefonowałam do kantoru, ach te kantory... Przysłali mi po tygodniu służącą, była wcale niezła. Bardzo dystyngowana i bardzo uczciwa.

— Przepraszam panią...

— Ale pokazało się, że strasznie kradła...

— Co pani mówi? — uczciwa i kradła? A czy termometr mógłbym zobaczyć?

— Wyrzuciłam naturalnie bez namysłu.

— Wyrzuciła pani termometr?

— Skądże? — służącą!

— Acha! No to pozwoli pani, że ja zbadam puls...

— Zaraz — zaraz... Powiedziałam, z kantorami trzeba sobie dać spokój i postarać się o służącą przez znajomość.

— Pani ma tyle znajomości...

— No tak, mam znajomości, ale przeważnie w sferach muzycznych, a trudno, żebym się pytała sławnych kompozytorów, czy nie słyszał który z nich o jakiej kucharce.

— Naturalnie. Ale może by pani pokazała mi języczek?

— Zaraz... zaraz... Wszystko panu pokażę, tylko niech skończę...

— Bo ja mam jeszcze kilka wizyt...

— Nie bądź nudny doktorze. Otóż moja praczka przysłała mi dziewczynę z dobrymi świadectwami, myślałam więc, że już skończyła się moja męka, tymczasem wczoraj wchodzę do kuchni, a ona sobie moim żelazkiem onduluje włosy. — Wpadłam w pasję — co mi się nigdy nie zdarza — ale rozumie doktór, że są okoliczności, kiedy kobieta musi wpaść w pasję. Wyrwałam jej żelazko z łap i powiedziałam, że tłumoki się nie ondulują, ona mi coś odpowiedziała... ja jej także... i zrobiła się straszna awantura. Z rozpaczy naturalnie potłukłam wszystkie garnki i talerze. A czy doktór wie, co ona na to?

— Nie, nie wiem.

— Najbezczelniej w świecie wrzeszczała: Niech pani tłucze — to nie moje... Jest pani histeryczką i nic więcej... Do mnie powiedziała histeryczka... Czy doktór słyszy?

— Słyszę, ale...

— Precz! — zawołałam — wynoś mi się w tej chwili! A ona na to: Proszę mi zapłacić, to sobie pójdę... — Grosza nie dostaniesz tłumoku — odpowiedziałam. Potłukłam resztę talerzy i przyszłam do pokoju, żeby zatelefonować po doktora. — Niech pan doktór ratuje...

— Zaraz, zaraz, przede wszystkim puls, bo bez pulsu nie mogę postawić diagnozy.

— Okropny jesteś doktorze — tym twoim pulsem doprowadzasz mnie do szału.

W tej chwili drzwi się otworzyły i na progu stanął szczęśliwy małżonek. Piękna pani Helena rzuciła w jego stronę mdlejące spojrzenie:

— Chodźże, chodź! Mogłabym sto razy umrzeć, nim ty przyjdziesz. Patrz, do czego mnie ten gamoń doprowadził. Czuję, że umieram. Doktór nie może sobie dać ze mną rady...

— Uspokójże się duszko, już jej nie ma...

— Co? — poszła?

— Naturalnie, zapłaciłem jej za miesiąc, żeby tylko był spokój.

Pani Helena skoczyła jak pantera:

— Cooo?... Ty jej zapłaciłeś?... Ty stary niedołęgo! Tyle talerzy natłuczonych, a on jej zapłacił. — Mógłbyś raz nareszcie skoczyć do Wisły.

— Dobrze kochanie, ale przecież tyś tłukła, a nie ona.

— Precz, precz! Nie pokazuj mi się na oczy! Własny mąż mnie dobija. A cóż to za potwór. Doktorze, ratuj... masz rękę, badaj puls.

Doktór wstał i kierując kroki ku wyjściu, rzekł poważnie:

— Nie potrzeba. Bardzo trafną diagnozę postawiła już pani kucharka.

— Jaką diagnozę?

— Powiedziała, że pani jest histeryczką, a histerii nie koję. To już należy do męża pani. Żegnam.

Doktor wyszedł.

Pani Helena zamieniła się w Gorgonę.

— Co? Słyszałeś? Pierwszy lepszy cyrulik mnie obraża, a ty nic? Leć zaraz po innego doktora, słyszysz? Prędzej, bo ja umrę...

— Dobrze, dobrze, lecę... — odparła ofiara.

W.

P R Z Y P O M N I E N I E



Fot: IKC z dnia 20. 5. 193

W „CZERWONYM RAJU"

Smutno sterczą ruiny spalonej i opuszczonej wsi na Ukrainie sowieckiej. A mieszkańcy? Wyginęli lub zostali zesłani do robót przymusowych.

ROZMAITOŚCI

„PREPONDERENCJA" I CO Z TEGO WYNIKA?

Kto nie wie co to jest „mańkut"? Ha, ha! To taki, co wszystko robi ręką lewą! Za pozwoleniem... Nie ma tu nic a nic śmiesznego ani nawet, gdy o ścisłość idzie, anormalnego. Ani to nałóg, ani wada. To tylko wrodzona zdolność, kategoryczny nakaz organizmu, właściwość danej jednostki. Nauka rozwiązała zagadkę „leworęczności" niektórych ludzi. Zawsze byli na ziemi „mańkuci". Znaleziono narzędzia z epoki kamiennej przystosowane do lewej ręki, wiele starożytnych pism było wynikiem pracy lewej ręki. Tak zwana preponderencja czyli przewaga ręki prawej nad lewą przyszła z czasem, w biegu rozwoju cywilizacyjnego ludzkości. Zmuszanie mańkuta do praworęczności jest dlań torturą, która na nic nie przyda się, bo nim regenerował się tylko atawizm, dziedziczność dawnych pokoleń, będących „oburękimi" w wykonywaniu pracy. Sprawa ta, według badań pozostaje w związku z rozwojem prawej i lewej półkuli mózgu, jest więc natury wewnętrzno-ustrojowej, od nas niezależnej. Prawa półkula rządzi ruchami lewej ręki, lewa półkula, prawej. Co za tym idzie, „mańkut" byłby na miejscu, gdyby nie było masy ludzi „praworękich". A czy to jego wina, że mózg jego tak a nie inaczej w tym względzie funkcjonuje? Czemuż są np. nie tylko blondyni, ale i bruneci i szatyni i inni? Czemu są piegowaci i niepiegowaci? Ot, właściwość organizmu... Tak i z „mańkutami". Przewaga tedy ręki prawej nad lewą, owa „preponderencja", to nic nadzwyczajnego. Tak chce natura.

BEZSENNOŚĆ... PRZED ŚLUBEM W SYRII

Zwyczajem wielce osobliwym jest wyprawianie piekielnych hałasów w domu pana i panny młodej przez kilka dni i nocy z rzędu przez krewnych i bliskich, a to w celu uniemożliwienia obojgu zaręczonym zaśnięcia choć na chwilę. Symbolicznie ma to oznaczać przejście od gwaru życia wolnego, do ciszy błogiego snu małżeńskiego pożycia.

W dniu ślubu, w udekorowanej sali odbiera panna młoda życzenia od kobiet, narzeczony u siebie od mężczyzn. Teraz panna młoda zostaje ubraną w czerwoną gazę przetykaną bogato złotem z zasłoną na twarzy. Tak staje obok pana młodego do ceremonii ślubnej. Biskup wiąże ręce młodym, unosi zasłonę oblubienicy i biorąc z rąk ministranta wieniec róż kilkakrotnie wkłada go i zdejmuje z głów młodej pary. Obrączki dopełniają ceremoniału i para młoda może zacząć wspólne życie ale... dopiero po ośmiu dniach. Tak każe dobry ton i przyzwoitość! Od ołtarza prosto młodzi udają się do domów rodzicielskich, by po tygodniu ująć taczki wspólnych losów.

NAJODWAŻNIEJSZY CZYN ŚWIATA

Niesłychanie brawurowego wyczynu, dotąd nie mającego ponad siebie nic osobliwszego, dokonał w roku 1859 akrobata francuski Blondin, urodzony w St. Omer nad Kanałem La Manche.

Oto nad Wodospadem Niagary, na wysokości 50 m nad tonią, w obliczu 60.000 ludzi przeszedł po linie długości 330 m z brzegu Stanów na Kanadyjski, i to: sam z żerdzią w ręku, siadając i kładąc się na linie; następnym razem idzie z aparatem fotograficznym i statywem i robi zdjęcia „po drodze". Raz trzeci z krzesłem, na którym siada pośrodku liny. Czwarty raz niesie na plecach innego akrobatę, Colcord'a. Po raz piąty, w 2-giej godzinie popisów na szczudłach! Brrr!

KARŁOWATY — HIPOPOTAM!

Jedyny okaz złapanego „miniaturowego" takiego zwierza posiadł w roku 1912 słynny cyrk Hagenbecka. Oto bowiem na podstawie relacyj specjalnej wyprawy badającej w latach 1879—87 murzyńską republikę afrykańską Liberię, ustalono, że zwierz takowy istotnie przebywa w puszczach tamtejszych. Nie mało trudu kosztowało schwytanie dziwnego obywatela tropikalnego, o połowę mniejszego od swych powinowatych i różniącego się od nich wielu anatomicznymi oraz biologicznymi właściwościami, ale wreszcie dokazano tej sztuki i „osobliwe monstrum" dziwiło rzesze zwiedzających zwierzyniec cyrku ku chwale właściciela i pomysłodawcy.

TWIERDZENIE... HIPPOKRATESA

Pierwszym człowiekiem w starożytności, który zdołał przeniknąć tajemnicę chorób umysłowych, był znany mistrz Hippokrates. Nauka jego polegała na twierdzeniu, iż mózg ludzki jest siedzibą naszych władz umysłowych, a choroby tzw. umysłowe, są tylko schorzeniami mózgu, upośledzającymi sprawność działania tegoż. Minęły wieki, nauki medyczne zrobiły kolosalny krok naprzód, atoli twierdzenie Hippokratesa zostało niezmiennym do naszych czasów w zasadzie. Stworzone przez Hippokratesa metody leczenia tych chorób przyjęli lekarze rzymscy Galenus i Celius Aurelian, a dzisiejsze metody niewiele właściwie od nich się różnią.

DZIWY SĄ NA ZIEMI NAPRAWDĘ

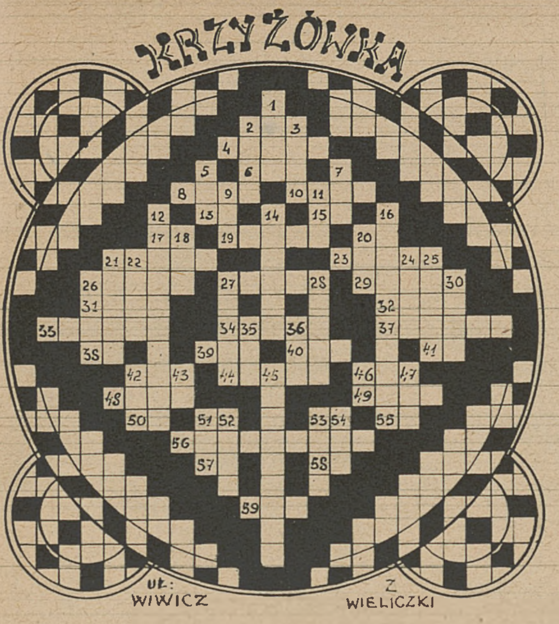
Na podstawie dokumentarnych danych, zebrano następujące „curiosa", jakie miały istotnie czy mają miejsce na świecie. Głowami kiwać nie należy. Kto chce, niechaj sprawdzi w rozmaitych rocznikach i zapiskach opiewających fakty zaszłe, komu to nie wystarczy do wiary, na to nie ma już rady. A teraz chwila uwagi: W świecie zwierzęcym istnieją autobusy! Żórawie lecące przewożą na grzbietach małe ptaszki, o czym wiedzą ornitolodzy. W zarządzie miejskim miasta Kalkuty znaleźć można dokument stwierdzający, że fakir Yori Bairhothii leżał bez powstawania na łożu nabitym gwoździami lat 18, a inny, Shartyi Ramsadrath wyciągał rękę lat kilkanaście bez zmiany jej pozycji, aż ptaki uwiły na niej gniazdo... W archiwach Rzymu oglądać można osobliwy akt kupna... kuli ziemskiej w roku 193 po Chr. przez niejakiego Didiusa Juliana od Marka Ripini.

CIEKAWOSTKI Z... SATURNA

Wśród siostrzyc Ziemi, więc planet krążących dokoła słońca i świecących światłem odeń odbitym, szczególnie interesują przedstawia się druga pod względem wi kości a trzecia co do odległości od słoń zwana już przez starożytnych ziemia-świ Saturn.

Oddalony średnio od słońca o 1426 mil nów km (ziemia o 150 milionów km), li w swym roku naszych lat ziemskich 29 i dni, krążąc po mocno spłaszczonej eli dokoła słońca. Obrót dokoła osi wykon w 10 godzin i 12 minut, a ziemia, choć o mniejsza w 24 godzin. Ma swych 10 ksie ców krążących koło niego, a to: Mir Enceladus, Tethys, Diona, Rhea, Tytan, perion, Japetus, Teba i Temida, i jest czony pierścieniami złożonymi z oddziel brył niewielkich rozmiarów, niby obrąc dla wiecznego „narzeczonego nieba" b cymi.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



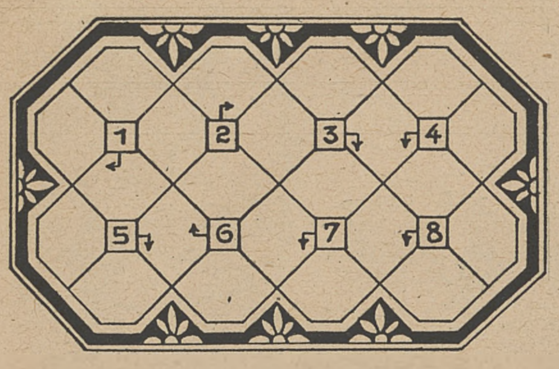
Znaczenie wyrazów

Poziomo: 2. Okres czasu. 4. Pierwotne narzędzie muzyczne. 6. Wykonawca wyroków. 8. Plan globu. 10. Zwierzę afrykańskich i indyjskich dżungli. 13. Egipskie bóstwo słońca. 15. Czwarty ton skali diatomiczno-chromatycznej. 17. Przyimek. 19. Zbiór klejnotów i kosztowności. 20. Spójnik. 21. Puchar inaczej. 23. Gałąź inaczej. 26. Część ciała łącząca głowę z tułowiem. 27. Zabytek sztuki starożytnych Greków i Rzymian. 29. Okaz fauny morskiej, który ma zastosowanie w ozdobach niewieścich. 31. Produkcja pszczół. 32. Część opłaty. 33. Związek chemiczny. 34. Nazwa monety. 37. Wyspa na rzece Nil (z grobem bogów egipskich Ozyrysa i Izydy). 38. Zaimek. 39. Lekarstwo inaczej. 40. Bóstwo starożytnych Greków. 41. Zaimek. 42. Firma motocykli i rowerów (skrót). 44. Krzew inaczej. 46. Drzewo iglaste. 48. Rasa psów. 49. Nazwa miesiąca. 50. Nazwa nuty. 51. Nazwa litery greckiej. 53. Symbol chloru. 55. Jednostka wymiaru oporu elektrycznego (wspak). 56. Postępek przeciwny prawu. 57. Wykrzyknik. 58. Zasadnicza jednostka miar i monet u starożytnych Rzymian. 59. Metal, rzadko spotykany w naturze.

Pionowo: 1. Mniejszy okres czasu. 2. Kończyna. 3. Nawał inaczej (wspak). 5. Metal (z grupy ziem alkalicznych). 7. Przeznaczenie inaczej. 9. Pręga inaczej. 11. Przednia część sklepienia czaszki zwierzęcej. 12. Nazwisko znanego kompozytora rosyjskiego z XIX wieku. 14. Owoc palmy. 16. Wynagrodzenie za pracę umysłową. 18. Papuga. 20. Flank, strona, inaczej. 21. Przednia część sklepienia czaszki ludzkiej. 22. Korzyść inaczej. 24. Mieszkaniec południowo-zachodniej Azji. 25. Parobczak inaczej. 26. Werbownik małżeński. 27. Mieszkaniec Meksyku w XVIII wieku, pochodzący z indyjskiego plemienia. 28. Czopek inaczej. 30. Nieokreślony okres czasu. 35. Miara rolna. 36. Tytuł turecko-tatarski. 42. Najniższy z gatunków głosu męskiego. 43. Tuz inaczej. 45. Wypadek. 46. Skrót miary metrycznej. 47. Liczba. 51. Nazwa większej rzeki w Niemczech. 52. Gaz. 53. Galop inaczej. 54. Zwierzę leśne.

DOOKOŁA CYFR

uł. K.



Znaczenie wyrazów: 1) trunek, 2) in. paroksyzm, 3) in. daleka droga, 4) diament, 5) miasto w starożytnej Persji, 6) mokre piaski, 7) państwo w Ameryce południowej, 8) ryba.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 38

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1. Kozak, 2. rumba, 5. Potop, 8. Nisko, 12. on, 13. ski, 15. r, s, 16. laweta, 18. nektar, 20. krasa, 23. lis, 24. amant, 25. ryk, 29. reda, 31. tama, 33, mat, 34. dom, 35. mer, 37. Ewa, 39. oni, 40. atu, 41. kit, 42. ono, 44. Iran, 45. mara, 46. ara, 48. korab, 49. die, 50. Warta, 51. amator, 54. Neada, 58. akt, 57. wu, 60. on, 61. arena, 62. kleks, 63. rynna, 64. kiosk.

Pionowo: 1. karp, 2. zamek, 3. klan, 5. Polak, 6. ona, 7. ego, 9. ink, 10. kra, 11. Osram, 13. salamandra, 14. instrument, 17. Weronika, 19. Traviata, 20. koszyk, 21. ar, 22. syrena, 25. matura, 26. ta, 27. Temida, 30. Emir, 32. metr, 34. do, 36. et, 38. ka, 43. obawa, 46. awans, 47. ar, 52. mur, 53. lan, 55. lew, 56. dok, 59. Kongo, 61a. arak, 62. kask.

DOOKOŁA CYFR

1. kwaranta, 2. baletnik, 3. bagatela, 4. kabalarz, 5. karabela, 6. kaganiec, 7. Walencja, 8. arendarz, 9. cebularz.

ILE BYŁO POCAŁUNKÓW?

11+10+9+8+7+6+5+4+3+2+1 = 66

*

7 zł 20 gr; 20 gr.

*

17 przełożonych w tym jeden dowódca.

*

Rozegrano 11 partii.

MAŁA ENCYKLOPEDIA

Adam *głupi był, aż miło:*
żony nie miał — źle mu było!
to też Pan Bóg w słusznej złości
babę mu wystrugał z kości.

Arka *pierwszy w świecie „ZOO“*
dyrektorem tam był Noe.

Baba *dziwny twór. Bo nieraz*
anioł z niej albo cholera.

Cuda *wtedy się zdarzają,*
gdy ktoś żyje z honorarium
ja zaś — trzeźwy ziemski brudas —
dawno już nie wierzę w cuda.

Dureń *popularny okaz:*
na całym go świecie spotkasz.

Dusza *w niebo ci ucieczę*
gdy żreć nie masz co, człowiecze —
bo choć sama nie ma ciała
musi jeść, żeby istniała...

Eunuch *Sułtańskiego strzeże mienia...*
Nie chcę z nim mieć do czynienia.

Fujara *zbiór cudnych tonów.*
Także może być „pan domu“.

Golec *Nie chcę mówić bredni.*
Patrz „Literat“ lub „urzędnik“.

Halka *to opera znana.*
Może ją też nosić panna.

Interesy *...Cicho! Szaa!*
Nie każdy się na tym zna!

„Ja“ *lub „Ego“ (po łacinie):*
bóstwo, które wielbią świnie!

Klepki *znajdziesz, gdzie? Ci powiem:*
często w balii, rzadziej w głowie.

Literat *albo Grafoman.*
Wątpię, czy on w głowie co ma...

Łotr. *Kto? Gadanina pusta.*
Chcesz go widzieć? Patrz do lustra.

Mąż. *„Cud“ — myśli panna stara,*
a mężatki — patrz „Fujara“.

Krysta Opalińska

Siedmioletnia Krysia chodzi już od roku do szkoły. Ale zadania rachunkowe wciąż sprawiają jej dużo kłopotu. Pewnego razu zapytuje ją nauczyciel:

— Dziesięć bułeczek kosztuje 30 groszy, ile kosztuje jedna bułeczka?

— 3 grosze.

— Doskonale! A jakeś to wyrachowała?

— Kupiłam sobie wczoraj jedną bułkę u piekarza, panie psorze.

*

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

ZAWIEDZIONY

Była najpierw salaterka
zupa z czterech ziemniaczków i ćwierci selerka
na osiemnaście osób; potem zaś w ten sposób
podane zrazy,
że z półmiska brać trzeba było na dwa razy
to, co połknąłbyś na raz. Na deser łyżeczka
rozwodnionego mleczka
(czyli tak zwany „szodon“) i biszkopcik tyci
zaś goście byli przy tym sami znakomici
i srebra i talerzy, talerzyków tłok
i rozmowa wytworna, w akcenty bon tonu
bogata. Więc dopiero, gdyśmy do salonu
przeszli, zajęczał pan nadradca Cmok:
— „Cóż to za obiad,
Kiedym się nim nie objadł?“

WYZNANIE

To wszystko bujda, wszystko kłam
celowa maskarada:
Ja lat dwadzieścia cztery mam,
nie setkę, jak się gada.

I nie ułomkiem jestem: wzrost
sto osiemdziesiąt ośm.
(Dwucetnarowy worek wprost
z podłogi się podnosi!)

Nic z wyłysiałych we mnie glist.
Drży ziemia, kędy stanę,
a kiedy huknę kogo w pysk
to łbem się wbija w ścianę.

Radośnie życia mijam start,
daleko mi do mety.
— Co krok mi szepce — żem jej wart
mdlejący wzrok kobiety.

Więc szumię jak ten jędrny las
i ćwierkam jak ten czyżyk
(—Na rekolekcje będzie czas
gdy zacznę czwarty krzyżyk).

Nie dziadek ze mnie dziś, ni wuj,
a prawda w tym jedyna,
że pędzi dziwny los mnie mój
z komina do komina.

Kraków, dnia 1. 1. 1884.

Wujcio z Komina



— Panie dozorco, czy ta foka jest rodzaju męskiego czy żeńskiego?
— A pani co do tego? To może tylko inną fokę interesować!

Rys: I. P.



— Sawicki, wymień mi trzy rzeczowniki zmysłowe!
— Basia... Irena... Janka...

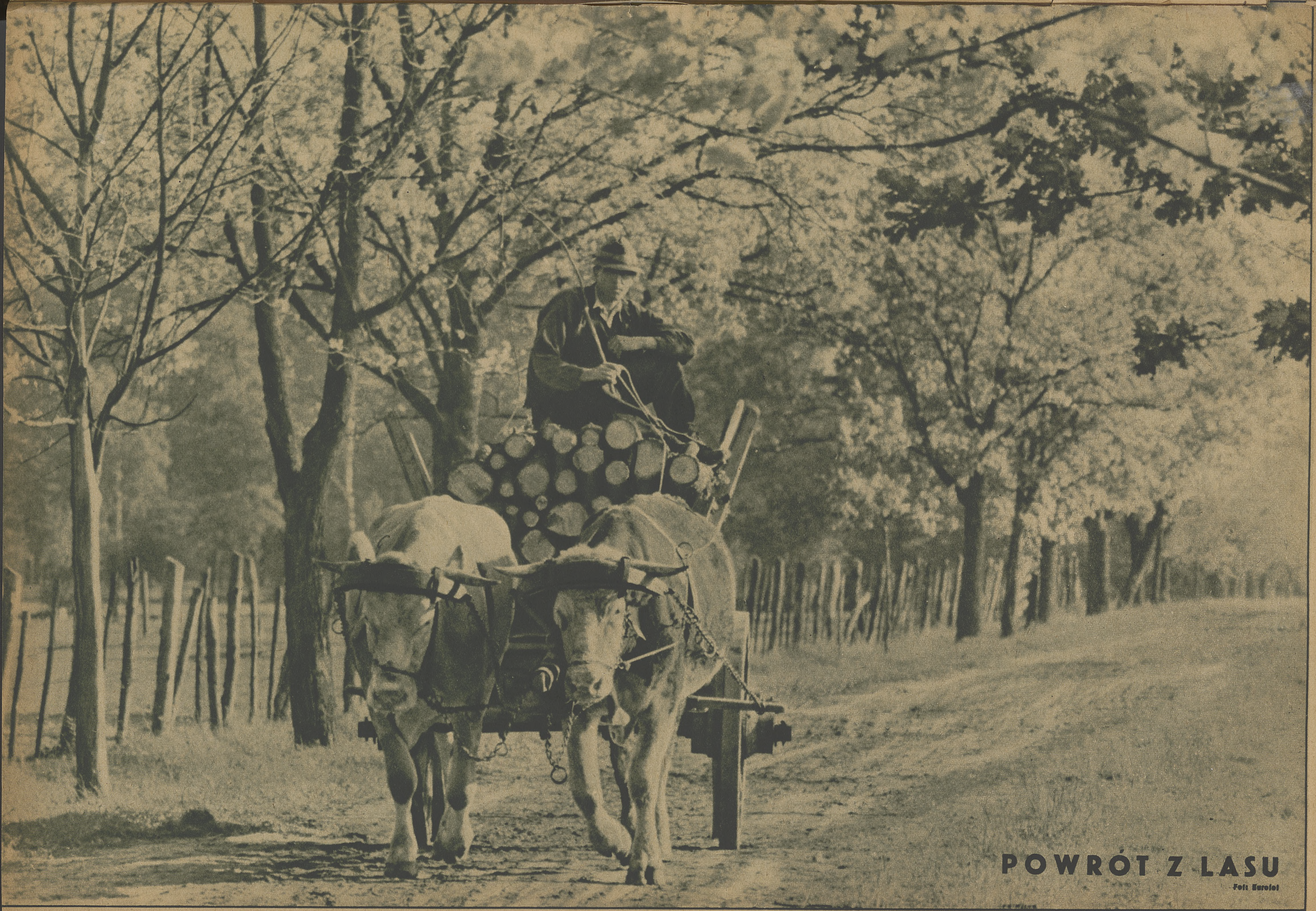
Rys: Czecha — Kraków



W DŻUNGLI

— Nigdy nie przypuszczałem, że moja lornetka powiększa do tego stopnia!

Rys: Stes. Kraków



POWRÓT Z LASU

Fot. Eurofot